

Poznaj Świat

12
2018

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 28

FINLANDIA

ŚWIĘTY MIKOŁAJ ISTNIEJE!

str. 48

FRANCJA

PROWANSALSKIE
BETLEJEM

Austria

200 LAT ŁAGODNOŚCI

str. 10

str. 56

WENEZUELA

KRAJ NA SKRAJU

ROSJA STR. 18

AUTEM PRZEZ
MORZE SYBERII

KANADA STR. 36

POWRÓT NA
ZIELONE WZGÓRZE

POLSKA STR. 68

MIASTO DUCHÓW



ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



THE
NORTH
FACE

NUPTSE.
WHEREVER.
FOREVER.





nr 741 od 1948 r.
Czasopismo pod patronatem Polskiego Towarzystwa Geograficznego

*Wspaniałych Świąt Bożego Narodzenia,
pełnych radości, spokoju, dobroci i łagodności
Grasz Nowego Roku
obfitującego w podróżnicze przygody
życzy redakcja miesięcznika *Poznaj Świat*.*



ROSJA str. 18



KANADA str. 36



FINLANDIA str. 28



WENEZUELA str. 56

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

AUSTRIA str. 10
„Cichą noc” śpiewa cały świat w ponad 300 językach.
Historia powstania kolędy
jest niezwykła.
Magdalena Żelazowska

ROSJA str. 18
Relacja z przejazdu
samochodem w poprzek
Bajkału.
Mikołaj Gospodarek

FINLANDIA str. 28
Święty Mikołaj istnieje!
Ewa Serwicka

KANADA str. 36
Powrót do krainy
dziecięcych marzeń –
na Zielone Wzgórze.
Agnieszka Mikulec

GEOSKOP str. 44

FRANCJA str. 48
Prowansalskie zwyczaje
świąteczne są wciąż żywe.
Mikołaj Wyrzykowski

PODRÓŻNOŚCI str. 54
Mądrość ulicy.
Felieton **Magdaleny
Żelazowskiej**

WENEZUELA str. 56
Kraj na skraju.
Tomasz Kruczkowski

NAVIGATOR str. 64

POLSKA str. 68
Pstrąże to uśpione
w dolnośląskich lasach
największe polskie
„ghost town”.
Arkadiusz Kubale

DŁUGO W DRODZE str. 78
Młody człowiek i morze.
Felieton **Łukasza
Długowskiego**

ERYTREA str. 80
Państwo na marginesie.
Maciej Suska

POLSKA NIEZNANA str. 88
Polski biegun zimna.
Felieton **Mikołaja
Gospodarka**

POZNAJ ZWYCZAJ str. 90
Święta Łucja i kiszony śledź.
Piotr Geise

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
CHINY str. 96
Daleko od szosy.
Jerzy Safijański

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 106
Udręka i ekstaza.
Felieton **Anny Szczęnej**

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
Adwent w Ziemi
Salzburskiej



Janusz Malinowski

USA

Bajeczne kominy

W południowo-zachodniej części stanu Utah znajduje się Park Narodowy Bryce Canyon. Wbrew nazwie nie jest on kanionem sensu stricto, bowiem nie płynie przez niego rzeka. Niecka, w której leży Bryce Canyon, tworzy amfiteatr pełen niesamowitych formacji skalnych z czerwonego piaskowca, powstałych w wyniku działania erozji na przestrzeni tysięcy lat. Ten kamienny las mieni się w słońcu ciepłymi barwami. Na zdjęciu skupisko stożkowych skalnych formacji, zwanych bajecznymi kominami.



salomon

TIME TO PLAY

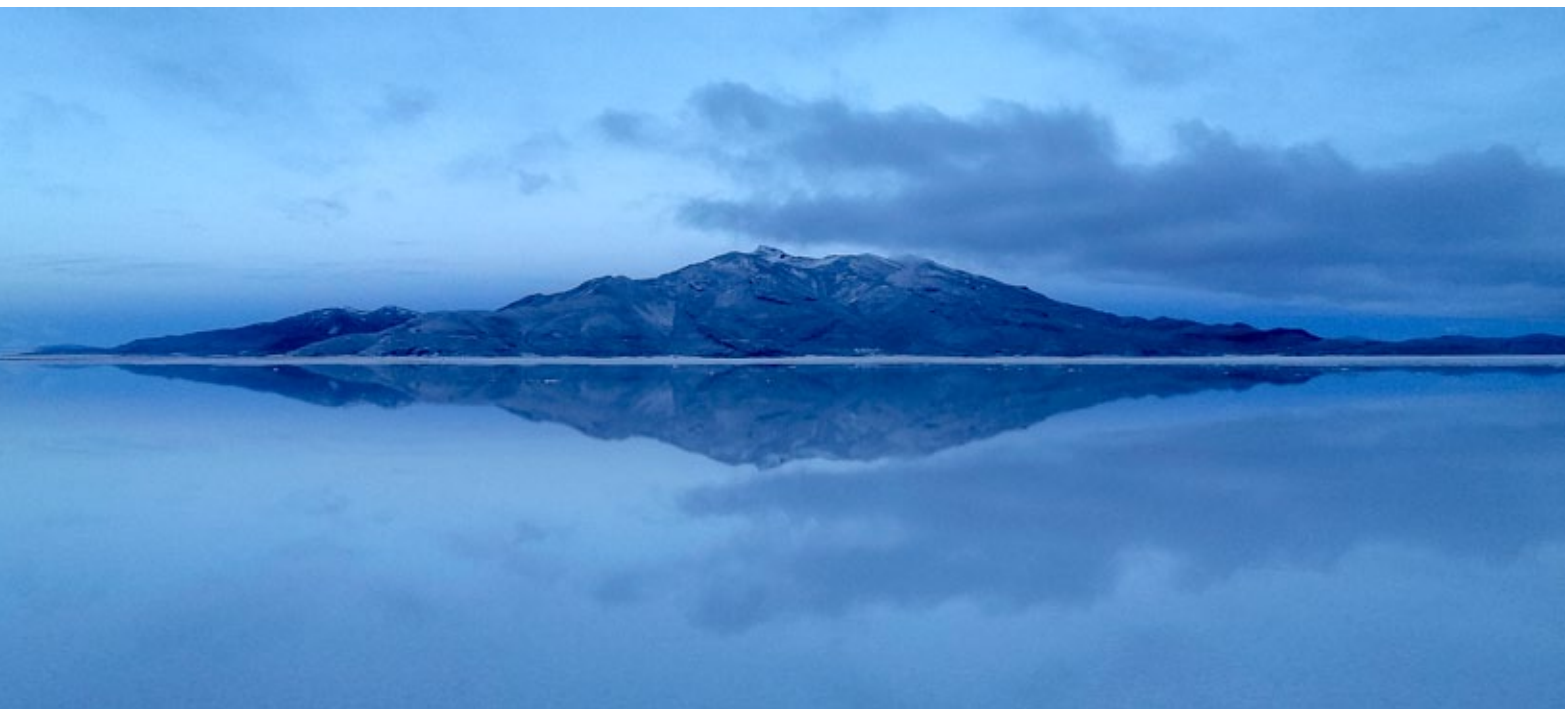
Wejdź na stronę:

WWW.KONKURS-SALOMON.PL

Codziennie do wygrania
obuwie marki Salomon.

PRZE
Y
E
MIERZAJ

SPRAWDŹ W SKLEPACH **salomon** 
LUB NA WWW.SALOMON.COM



Witold Sosnowski

BOLIWIA

Duża kałuża

Salar de Uyuni jest znane nie tylko z rozmiaru, lecz także z niesamowitego odbicia, które można tam zobaczyć między lutym a kwietniem. Po deszczach światło odbija się od wody zebranej na powierzchni solniska, tworząc efekt podobny do lustra. Niestety, pod koniec czerwca deszczy już nie ma, więc byłem zawiedziony, że to zjawisko przegapiłem. Dopisało mi jednak niesamowite szczęście, bo nocą burza śnieżna pokryła sól cienką warstwą śniegu. Następnego ranka ujrzałem mnóstwo kałuż. Wypatrzyłem taką wielkości małego jeziora i dzięki temu udało się zrobić to zdjęcie.

HAMMER BLADE 2 PRO



SPRÓBUJ GO POSKROMIĆ



5,72"



IP68



IK07



RAM



3900 mAh

Mikołaj Gospodarek

POLSKA

Naga prawda o plaży

Jesienne i zimowe wiatry odsłaniają prawdziwe oblicze plaży w Słowińskim Parku Narodowym. Trafiłem na wyjątkowy czas, kiedy wiatr dosłownie odbierał dech. W okolicach Czołpina miałem wrażenie, że ziemia jest w ruchu. Wiatr podrywał drobinki piasku, które wyglądały jak płynąca woda. Na sporych powierzchniach tylko przy niewielkich kamykach ziarenkom udało się jeszcze utrzymać. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej plaży nad Bałtykiem.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



THULE[®]
SWEDEN

➤ **Business,
leisure or
both**



New



Thule Crossover 2 Collection

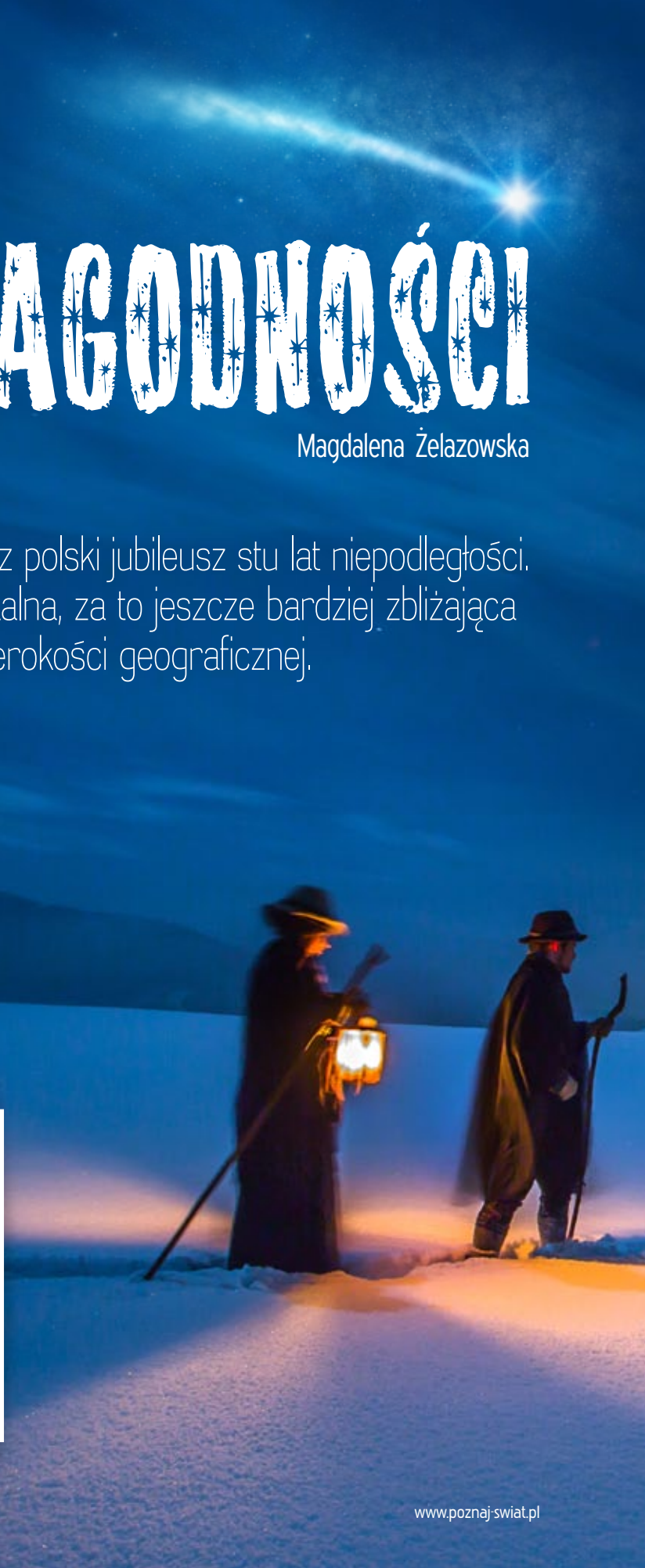
Idealne w podróży, wytrzymałe i funkcjonalne produkty Thule Crossover 2 pomogą utrzymać porządek i łatwy dostęp do zawartości.

Bring your life
thule.com

200 LAT ŁAGODNOŚCI

Magdalena Żelazowska

W 2018 r. świętujemy nie tylko nasz polski jubileusz stu lat niepodległości. Jest inna ważna rocznica. Mniej lokalna, za to jeszcze bardziej zbliżająca ludzi, bo łączy ich niezależnie od szerokości geograficznej.



Najpierw jednak cofnijmy się w czasie nieco bardziej. Wyruszymy też dalej na mapie, bo aż na drugą półkulę. 10 kwietnia 1815 r. na indonezyjskiej wyspie Sumbawa, należącej wówczas do Holenderskich Indii Wschodnich, nastąpiła najpotężniejsza erupcja wulkanu, jaką kiedykolwiek odnotowano w historii. Wulkan Tambora wybuchł z siłą 7 stopni w 8-stopniowej skali Richtera i pochłonął życie setek tysięcy ludzi. Huk eksplozji było słycać z 2 tys. km, a słup dymu przekroczył wysokość 40 km. Cząstki popiołu okrążyły kulę ziemską i unosiły się w atmosferze jeszcze przez wiele miesięcy, ograniczając dostęp promieni słonecznych do powierzchni planety. Obniżenie temperatury spowodowało znaczny spadek plonów w Europie i Ameryce Północnej. Rok 1816 przeszedł do historii jako „rok bez lata”.

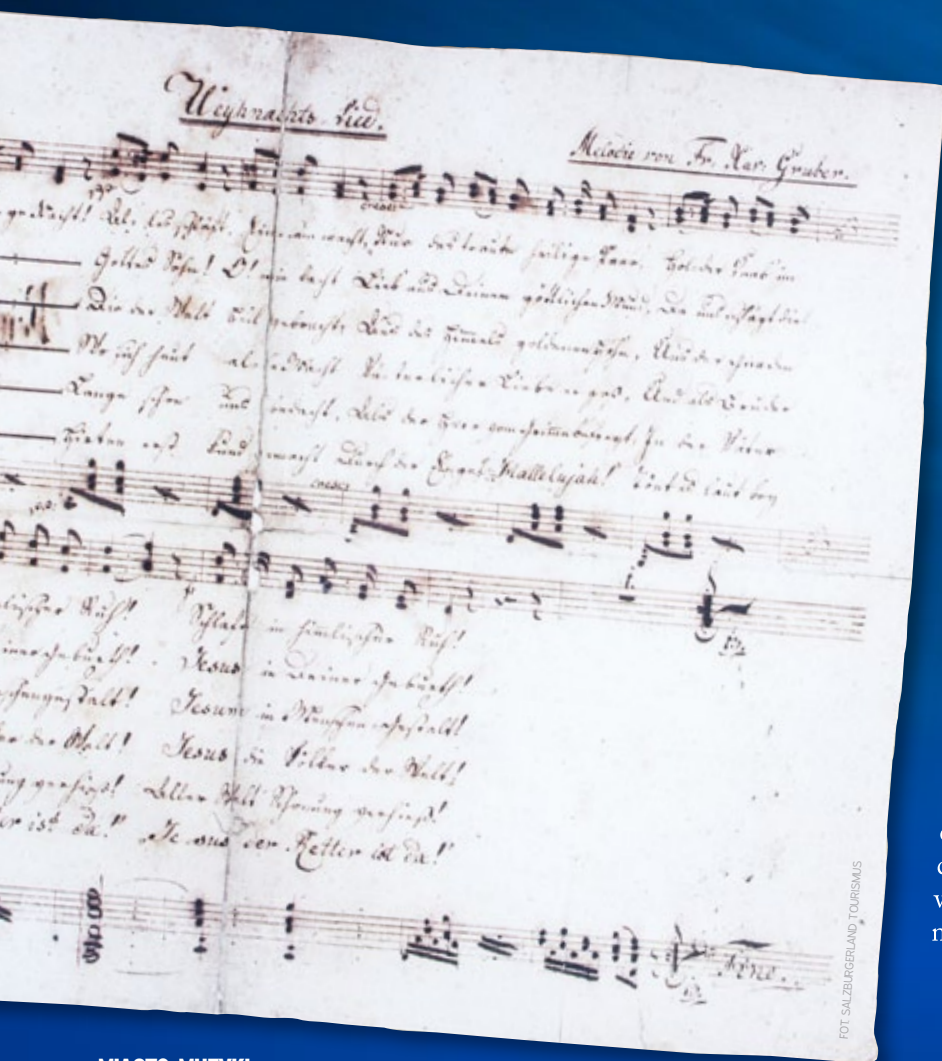
NARODZIŁ SIĘ W UBÓSTWIE

To były ciężkie czasy dla świata. Europa, spustoszona przez wojny napoleońskie, pograżała się w głębokim kryzysie, spotęgowanym przez klęskę głodu. Ludność, trapiąca przez nędzę i desperację, rozpaczliwie potrzebowała nadziei. W tych ponurych okolicznościach dorastał Joseph Mohr, urodzone w Salzburgu nieślubne dziecko szwaczki i dezertera z armii austriackiej, który uciekł także od roli męża i ojca. Chrzestnym chłopca został ostatni salzburski kat, bo nie było innych chętnych. Za to chrzcielnica była ta sama, w której chrzczono Wolfganga Amadeusza Mozarta. Może dzięki temu na małego Josepha spłynęła cząstka geniuszu? Bo chociaż za życia nie zasnął sławy i bogactwa jak starszy kolega, to na zawsze zapisał się w historii muzyki. Słowa, które napisał, śpiewa do dziś cały świat.

ADWENTOWA AURA

Nie ma lepszej pory na odwiedzenie Austrii niż adwent. Powody? Niesamowita atmosfera alpejskich wiosek, świąteczne jarmarki i świetne kurorty narciarskie.





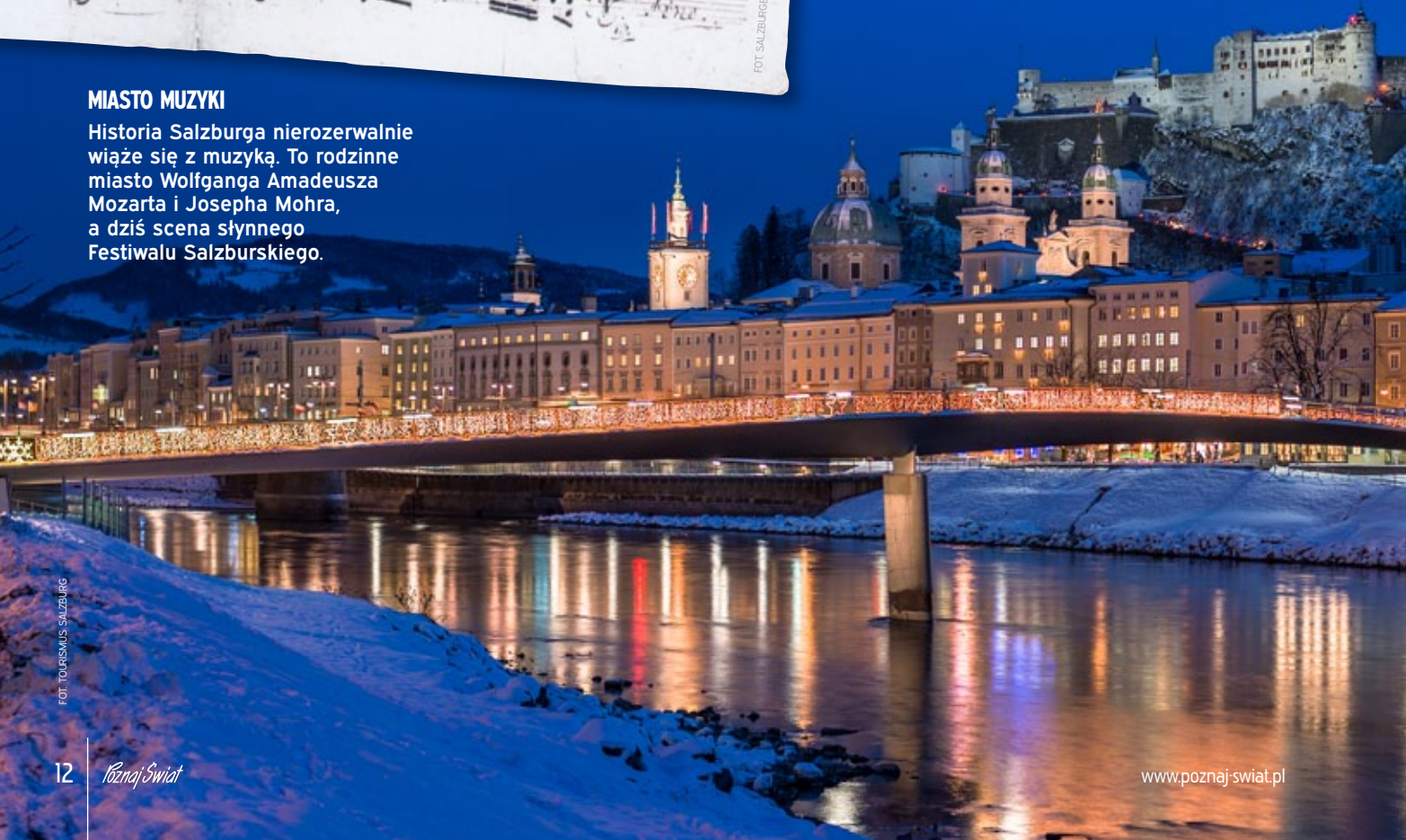
FOT. SALZBURGERLAND TOURISMUS

MIASTO MUZYKI

Historia Salzburga nierozdzielnie wiąże się z muzyką. To rodzinne miasto Wolfganga Amadeusza Mozarta i Josepha Mohra, a dziś scena słynnego Festiwalu Salzburkiego.

Joseph Mohr zawsze miał pod górkę. W domu nigdy się nie przelewał. Jako nieślubne dziecko musiał ubiegać się o specjalną zgodę na rozpoczęcie edukacji kościelnej. W 1815 r. został księdzem i tak rozpoczęła się jego tułaczką od parafii do parafii. Wrażliwy, niepokorny, często popadał w konflikty z przełożonymi i nigdzie nie mógł długo zagrzać miejsca. Spokojną przystań znalazł dopiero po dwudziestu latach, w Wagrain w Alpach Salzburskich, gdzie przez 12 lat kierował miejscową parafią.

Dziś ma się tu ochotę uciec przed całym światem i zostać na zawsze. Drewniane domy z ukwieconymi balkonami, cudowne widoki na górskie łąki, cisza i czyste powietrze – sielanka. Ale w XIX w. w alpejskich wioskach żyło się ciężko. Panowała bieda, dzieci zamiast do szkół posyłano do pracy, parobkowie i służące, kiedy tylko przestawali być przydatni, kończyli bez dachu nad głową. Proboszcz Joseph Mohr był czuły na ludzką niedolę. Nieustannie pukał do drzwi zamożnych z prośbą o datki, zbudował przytułek dla starców i szkołę, funkcjonujące do dziś, sam uprawiał ziemię i dzielił



się plonami. Zmarł na zapalenie płuc, którego nabawił się, odwiedzając chorego.

Krótko po święceniach młody wikariusz został wezwany do rodziny ubogiego węglarza, którego żona właśnie urodziła. Niektórzy twierdzą, że było to w Wigilię. Mohr ochrzcił dziecko, ale serce mu się ścisnęło na widok nędznej, zimnej chaty i kobiety tulącej płaczące maleństwo. Myślał o nich przez całą drogę powrotną. Tego samego wieczora usiadł w swojej izbie i zaczął pisać wiersz, który do dziś powoduje łzy wzruszenia. Tak powstały słowa kolędy „Cicha noc”.

WIGILIJNE OBJAWIENIE

Muzykę dwa lata później skomponował Franz Xaver Gruber, nauczyciel z Arnsdorfu, z którym Joseph Mohr zaprzyjaźnił się podczas posługi w Oberndorfie. Na temat powstania melodii „Cichej nocy” nie brakuje legend i rozmiągających się teorii. Jedna z nich mówi o tym, że tuż przed Bożym Narodzeniem w kościele zepsuły się organy. Nie było szans na to, by organmistrz naprawił je przed świętami, dlatego pilnie był potrzebny utwór na gitarę,

który można by zagrać podczas uroczystej mszy. Inna wersja jest taka, że Mohr, zawsze starający się być blisko ludzi, a nie kościelnych przełożonych, często stołował się w karczmach i tam zapalał sympatią do gitary. Jedno jest pewne: duchowny przekazał napisany przez siebie wiersz Gruberowi, a ten w ciągu jednego popołudnia miał już gotową muzykę.

Pierwszy raz zaśpiewali „Cichą noc” wspólnie w Wigilię 1818 r. w Oberndorfie. Kościół św. Mikołaja, podmywany przez niespokojne wody rzeki Salzach, już nie istnieje, na jego miejscu stanęła pamiątkowa kapliczka. Słowa kolędy – łagodne, ciepłe i kojące, były dokładnie tym, czego potrzebował świat, dlatego pieśń szybko go obiegła. Podobno maczał w tym palce wspomniany organmistrz, który zabrał pieśń w dolinę rzeki Ziller, a tam podchwyciły ją grupy śpiewaków, którzy występowali na jarmarkach bożonarodzeniowych w całej Europie.

Atmosfera tamtych czasów wciąż unosi się w czasie Christkindlmarkt, czyli Jarmarku Dzieciątka Jezus w Salzburgu. Szybko zapadający zmrok rozświetlają światelka wielkiej choinki i dziesiątki kramów ustawionych na

KOLOROWYCH JARMARKÓW!

Kraje niemieckojęzyczne kochamy za świąteczne jarmarki. Christkindlmarkt w Salzburgu należy do najpiękniejszych.





SIELSKO, ANIELSKO

Przytulne drewniane chaty, białe czapy na spadzistych dachach i ośnieżone szczyty Alp – Ziemia Salzburska sprawia wrażenie, jakby czas się tu zatrzymał.

placykach starego miasta. Czegóż tam nie sprzedają! Ręcznie malowane bombki, dziadki do orzechów, marcepanowe cudeńka, lampy w kształcie ośnieżonych kamieniczek, które kryją miniaturowe cukiernie, apteki i kawiarnie. Nad wszystkim unosi się zapach migdałów i *Glühwein* – aromatycznego grzanego wina, którym raczą się przytupujący z zimna spacerowicze. Po chwili robi im się naprawdę gorąco – w rozanielony tłum z rykiem wbiegają

kudłate kreatury, okładające gawieź różgami. Te rozwrzeszczane i niezbyt przyjemnie pachnące stwory to krampusy – rogate diabły w koźlim futrze, podzwaniające bydłęcymi dzwonekami zawieszonymi na szyi.

Bieg Krampusów to część austriackiej bożonarodzeniowej tradycji. Podobnie jak perchty, które można spotkać w alpejskich wioskach między Bożym Narodzeniem a Świętem Trzech Króli. Ten okres to tzw.



Rauhnächten – dwanaście nocy, podczas których po ziemi krążą demony i duchy zmarłych. Odstrasza się je poprzez conocne okadzanie gospodarstw kadzidłem zmieszonym z ziołami.

MISS DZIECIĄTKO JEZUS

Dlaczego salzburski jarmark nazwano imieniem Dzieciątka Jezus? Bo w Austrii to Ono,

a nie Mikołaj, jest gwiazdą Bożego Narodzenia (i to Ono przynosi dzieciom prezenty). W czasie jarmarku w Salzburgu odbywają się coroczne wybory Miss Dzieciątka Jezus. Dzieciątko to świąteczna idea, która nie ma fizycznej postaci, ale na potrzeby marketingu trzeba było jakoś ją uosobić. Uznano, że zamiast niemowlęcia lepiej prezentuje się postać anielicy. Co roku młode dziewczyny przebiorają się więc w anielskie szaty i występują w roli

ŚWIĘTA POCZTA

Praca wre na Poczcie Dzieciątka Jezus w Christkindl. Co roku powstaje inny stempel, a kolekcjonerzy polują na specjalne edycje znaczków.



ŚNIEŻNY SZYK

Zdaniem wielu Salzburg najpiękniej prezentuje się zimą. Nie ma tu wtedy tłumów turystów, na które skarżą się mieszkańcy w czasie ciepłych miesięcy.

Dzieciątka Jezus. W czasie Christkindlmarkt odbywają się wybory najpiękniejszego Dzieciątka, a zwycięzcy prezentuje się publicznie na balkonie rezydencji arcybiskupiej.

Dzieciątko Jezus ma też własny... urząd pocztowy. Mieści się on w miejscowości Christkindl i co roku wypuszcza specjalną linię

świętecznych znaczków i stempli pocztowych. Przez tutejszą pocztę przechodzi blisko 2 miliony listów i kartek świątecznych. Austriacy wysyłają je z całego kraju, aby adresaci otrzymali życzenia opatrzone specjalnym świątecznym stemplem. Trafiają tutaj też listy do Dzieciątka pisane przez dzieci z całego świata.

DUET WSZECH CZASÓW

Portret Josepha Mohra i Franza Grubera w domu pamięci w Hochburg-Ach. Tych dwóch serdecznych przyjaciół nie miało pojęcia, że przejdą do historii.



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

ŚWIĄTECZNY SZLAK

Ziemię Salzburską można zwiedzić według klucza Bożego Narodzenia. Trudno o lepszy sposób, żeby wprowadzić się w świąteczny nastrój – ten szlachetny, a nie plastikowo-brokatowy, jaki od wczesniej jesieni serwuje się nam w supermarketach. Zacznijmy od wizyty w Muzeum Bożego Narodzenia, które umożliwiło się w budynku starego Szpitala Mieszczańskiego w Steyr. Można tam zobaczyć



FOT. TOURISMUS SALZBURG



FOT. SALZBURGERLAND TOURISMUS

kolekcję blisko 15 tys. eksponatów zebranych przez miłośniczkę świąt Elfriede Kreuzberger. Ręcznie robione ozdoby choinkowe sięgające pierwszej połowy XIX w. dowodzą niezwyklej zdolności i wyobraźni tych, którzy je wykonali. Podobną fantazją wykazał się projektant wagonikowej kolejki, która zabiera chętnych w podróż przez świąteczne scenki odgrywane przez lalki.

Miłośnicy lalkarstwa powinni udać się też na jedną z wystaw starych bożonarodzeniowych szopok. Można je obejrzeć m.in. w Christkindl, Hallein, Steyr (tutejsza szopka ma postać teatru lalkowego) i Muzeum Sztuki Ludowej Regionu Innviertel w Ried im Innkreis, którego skarbem jest oryginalna szopka z kościoła w Oberndorfie. To przed nią pierwszy raz zaśpiewano „Cichą noc”. Po rozebraniu kościoła w 1906 r. szopkę sprzedano kramarzowi z Salzburga. W jego sklepie rozpoznał ją ksiądz Veichtlbauer, który kupił ją do swej kolekcji eksponatów sztuki sakralnej. Tę kolekcję, zawierającą m.in. bożonarodzeniowe jajka i 10 tys. innych eksponatów, ksiądz przekazał muzeum.

Kolejny przystanek na świątecznym szlaku: miejsca związane z życiem Franza Xavera Grubera. Muzyk i nauczyciel urodził się

w Hochburg-Ach w wielodzietnej rodzinie tkaczy. Dzięki zaangażowaniu miejscowego proboszcza, który rozpoznał talent chłopca, mały Franz mógł się uczyć gry na organach i robił w tym imponujące postępy. Dom Gruberów już nie istnieje, ale można zwiedzić identyczny w formie, stylu i wystroju, który zachował się w okolicy. Oryginalny jest natomiast zabytkowy budynek szkoły w Arnsdorfie, najstarszej wciąż działającej w Austrii (powstała w 1771 r.). Na piętrze zobaczymy skromne służbowe mieszkanie, które zajmował Gruber w czasach, gdy był tu nauczycielem, i dawne wyposażenie klasy – skrzypiące, drewniane ławki, uczniowskie tabliczki do pisanja kredą. Tuż obok stoi kościół Maria im Mösl, którego kuranty wygrywają melodię „Cichej nocy”.

W Austrii można ją usłyszeć tylko w Wigilię. Chociaż tę kolędę śpiewa cały świat w ponad 300 językach i dialektach, w kraju pochodzenia jest zarezerwowana na ten jeden, wyjątkowy dzień w roku. Zamykam oczy i słucham delikatnego brzmienia kurantów. Wciążam nosem powietrze i przypominam sobie zapachy, które towarzyszyły mi w ostatnich dniach. Pachnące żywicą, skrzypiące drewno starego domostwa. Świeże igliwie stroików. Wosk figurek. Suszone owoce, goździki, orzechy i pierniki. To taka oprawa wystarczy. Prosta, czasem nawet skromna. Cicha. Święta. ○

CICHA NOC

Tutaj w 1818 r. po raz pierwszy zaśpiewano słynną kolędę. W miejscu dawnego kościoła stanęła pamiątkowa kapliczka. Napis na drzwiach głosi: „Pokój ludziom dobrej woli”.



Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”. Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubisietam.pl.





Mikołaj Gospodarek

AUTEM PRZEZ MORZE SYBERII

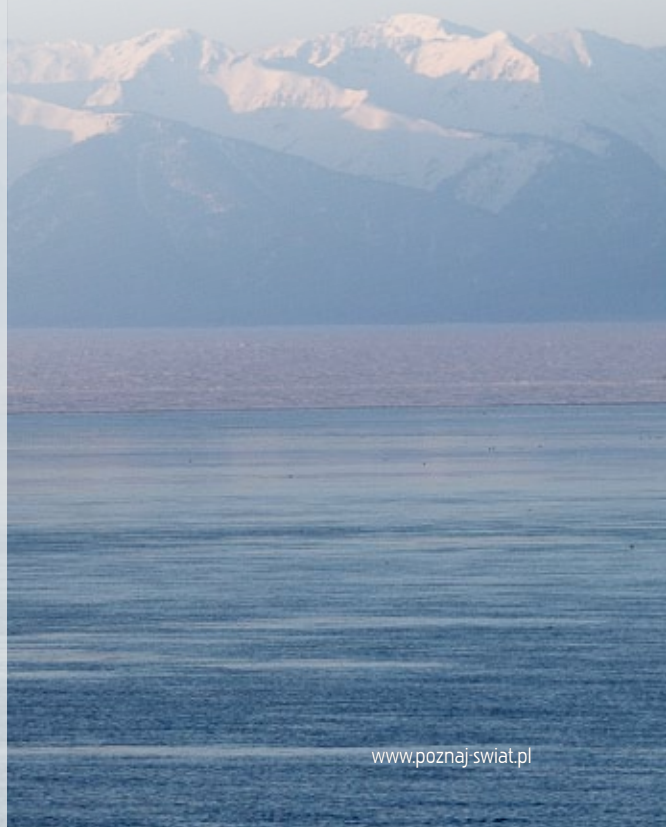
PUSTKOWIE ZAMIESZKANE

Na Syberii ma się wrażenie, że to niemożliwe, aby ktoś mieszkał tak daleko od cywilizacji. A jednak we wszystkich napotykanym domostwach żyją ludzie.



FOT. MICHAIŁ GOSPODAREK

W powietrzu czułem zapach końca zimy. Pod nogami miałem metr lodu. Stałem na środku morza Syberii. Tak miejscowa ludność nazywa Bajkał. W drodze do Listwianki pokonałem już kilka pęknięć, dziesiątki zasp i ogromne przestrzenie przejrzystego lodu. Uświadomiłem sobie, że już nigdy nikt nie wróci dokładnie w to miejsce. Lód się rozpułynie i na zawsze znikną podziwiane przeze mnie krajobrazy. Poczulem jednocześnie zachwyt i przerażenie. Magia Syberii pochłonęła mnie bez reszty.



Robiło się już ciemno, kiedy listopadowy spokój przerwał dźwięk telefonu. W słuchawce usłyszałem: – *Czy masz czas wybrać się zimą nad Bajkał i przejechać samochodem z jednej strony na drugą?* Odpowiedzieć mogła być tylko jedna: – *Tak!* Propozycję złożył mi Szymon Sołtysik, dyrektor PR Mazdy w Polsce. Przed nami pozostało sporo formalności wizowych i logistycznych. Kolejnym problemem był sam Bajkał, a w zasadzie lód, który pojawił się bardzo późno. Z pierwszego planu wyjazdu w styczniu musieliśmy zrezygnować. Zanim pokrywa się ustabilizowała, był już prawie koniec marca. Wyruszyliśmy w ostatnim momencie. Lód całkowicie znika tutaj zazwyczaj na początku maja.

SYTUACJA NADZWYCZAJNA

Proces zamarzania Bajkału jest niezwykle ciekawy. Rozpoczyna się od lodu pojawiającego się na przybrzeżnych skałach. Potem powstają nakładające się na siebie warstwy, które z biegiem zimy łączą się w coraz większe powierzchnie. Kiedy scalają się wielkie płyty, z jeziora dochodzą odgłosy strzałów czy burzy.





SZKLANA PUŁAPKA

Tam, gdzie lód jest przezroczysty, widać, jak pęcherze powietrza próbują wydostać się z pułapki.

Dopiero kiedy syberyjskie mrozy zagospodzą na dobre, tafla się uspokaja. Nie oznacza to jednak, że tkwi w bezruchu całą zimę. Ogromna powierzchnia i ciągle ruchy tektoniczne (około 2 tys. trzęsień ziemi odnotowanych rocznie) sprawiają, że choć szklanki na stołach w okolicznych wsiach ani drgną, to lód zaczyna się łamać. Powstają przez to śmiertelnie niebezpieczne szczeliny, które trudno ominąć.

Co istotne, ja miałem przez Bajkał przejechać, a nie po nim pojeździć. To zasadnicza różnica, bo o ile zimowe szlaki lodowe wzdłuż brzegu są bardzo popularne, o tyle

przejeżdżanie Bajkału w poprzek jest prawie zakazane. Po tym, co zobaczyłem, mogę powiedzieć, że jest również praktycznie niemożliwe na własną rękę. Pieszko czy na nartach – jak najbardziej. Samochodem? Obawiam się, że gdyby nie obecność przedstawicieli rosyjskiego Ministerstwa ds. Sytuacji Nadzwyczajnych (EMERCOM), nie udało by mi się pokonać Bajkału po lodzie.

Kiedy spojrzałem z brzegu w miejscowości Babuszkin, to od Listwianki dzieliło mnie prawie 70 km w linii prostej. To odległość jak z Częstochowy do Katowic. Po lodzie nie



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

prowadził żaden szlak. Jego wyznaczenie rozpoczęło się w momencie wjazdu na jezioro.

MIASTO Z GŁOWĄ

Przygoda rozpoczęła się w Ułan Ude. To stolica Buriacji i trzecie pod względem wielkości miasto Syberii. Już w pierwszych chwilach po wylądowaniu poczułem, że jestem w innym świecie. Zapomniałem odebrać walizki i kiedy musiałem wrócić po nią do hali, okazało się, że bramki bezpieczeństwa nie działają. Po prostu przeszedłem.

Zmiana stref czasowych i prawie 9 godzin lotu dawały się we znaki, ale przy tak pięknej pogodzie nie odmówiłem sobie spaceru po mieście. Według różnych statystyk Ułan Ude zamieszkuje około 400 tys. mieszkańców. Założone przez Kozaków w 1666 r., od początku było ważnym punktem handlowym na linii Rosja – Chiny – Mongolia. Miasto doszczętnie spłonęło w 1878 r. Dzisiaj można zobaczyć piękne budowle z epoki rosyjskiego klasycyzmu. Malownicze drewniane domy mocno kontrastują z nowoczesną betonową zabudową. W centralnym punkcie miasta

CO MA JECHAĆ, NIE UTONIE

Na czele kolumny jechał samochód służb specjalnych o ogromnej wyporności, który w razie pęknięcia lodu nie tonie.

znajduje się 10-metrowa głowa Lenina, a ulice noszą nazwy komunistycznych dygnitarzy.

Ułan Ude tętni życiem. Mieszczą się w nim trzy teatry, a oferta kulturalna, o której przeczytałem na tablicy ogłoszeniowej, jest bardzo bogata. Położone na trasie z Władywostoku do Moskwy, jest przystankiem dla transportu drogowego i kolejowego. W 1899 r. dotarł tutaj pierwszy pociąg Kolei Transsyberyjskiej. Miałem sporo szczęścia, bo zwiedzałem miasto w piękną pogodę i przy niewielkim mrozie. Ulice zalały się tłumami ludzi i chociaż chodziłem w puchowej kurtce, mieszkańcy te 2°C traktowali niemal jak nasze wiosenne 15°C.

KRAJOBRAZ ULOTNY

Ułan Ude od Bajkału dzieli około 150 km drogi. Mieszka się na niej ruch lokalny z mknącymi przez całą Rosję tirami. Zaskoczeniem dla mnie był stan tej drogi i napotkane remonty. Nawierzchnia albo była całkiem znośna, albo nie było jej wcale. Kilka razy zjechałem z głównej trasy. Raz odwiedziłem niewielką wioskę na uboczu, a przy innej okazji dotarłem do linii kolejowej ciągnącej się po horyzont. Przestrzeń pomiędzy wioskami to piękne lasy. Droga częściowo biegła przez niewielkie góry. Nie odniosłem wrażenia „końca świata”, bo co rusz było widać ślady cywilizacji. Zaskoczeniem była też liczba fotoradarów na drodze. Momentami bywało też niebezpiecznie ze

POD KOMUSZKA

Ulica Sowiecka w Ułan Ude. Na centralnym placu znajduje się też wielka głowa Lenina. Po prawej widok ze wzgórza Komuszka na miasto pełne kontrastów – od lepianek po nowoczesne biurowce i pięciogwiazdkowe hotele.



FOT. MICHAŁ GOSPODAREK





W KRAJU DALEKIM, GDZIE LÓD SKUŁ RZEKI

Przez prawie 7 godzin z Moskwy leci się nad jednym krajem. Kiedy w końcu zobaczy się Syberię, nie można otrząsnąć się z zachwyty.

względu na samochody z kierownicą po prawej stronie. Królują na drogach, są sprowadzane z Japonii, a podczas wyprzedzania ich kierowcy muszą wyjechać niemal całym autem zza ciężarówki.

Dotarłem nad Bajkał. Pierwsze spojrzenie i po prostu brak słów. Podziwiałem go już z okien samolotu, ale kiedy stanąłem na brzegu, to dopiero zrobił na mnie piorunujące wrażenie. Powstał na skutek ruchów tektonicznych prawie 25 mln lat temu. Po Morzu Kaspijskim jest drugim pod względem wielkości jeziorem w Azji, a siódmym na świecie. Po wielu pomiarach przyjęto, że najgłębsze miejsce znajduje się na 1642 m. Średnia

głębokość wynosi 730 m. Jezioro ma 636 km długości, a w najszerszym miejscu – prawie 80 km. Woda w Bajkale jest niezwykle przejrzysta. Wszystko dzięki niezwykłemu ekosystemowi i epizyrom – skorupiakom, które oczyszczają jego wody. Do jeziora uchodzi ponad 330 rzek. Wypływa z niego jedynie Angara. Lata bezrefleksyjnego zanieczyszczania jeziora na całe szczęście nie zdołały zniszczyć jego naturalnego piękna. Przez brak połączenia z jakimkolwiek morzem stworzyło ono świat dla ponad 2600 gatunków roślin i zwierząt, z czego 1700 występuje tylko tu. W 1996 r. Bajkał został wpisany na listę UNESCO. Dzięki temu w świadomości



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

mieszkańców i lokalnego przemysłu powoli przestał być śmietnikiem bez dna.

Ruszyłem na lód. Całą podróż odbyłem na pokładzie Mazdy CX5 z napędem 4x4. Kolce w oponach bardzo przydały się na początkowym odcinku, gdy musiałem przejechać przez dość głęboki śnieg, pod którym znajdował się lód. Jechałem w kolumnie 10 samochodów w odstępach około 25 m. O bezpieczeństwo dziennikarzy z całej Europy dbała ekipa EMERCOM-u i lokalni przewodnicy na skuterach śnieżnych.

Od strony technicznej momentami było bardzo niebezpiecznie. Nie mam zbyt dużego doświadczenia w jeździe po lodzie



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

przysypanym śniegiem. Czasami koła zakopywały się w puchu, pod którym natrafiały na lód, i tylko odpowiednie operowanie pedałem gazu pozwalało wyjechać ze śnieżnej pułapki. Największym wyzwaniem było przekraczanie szczelin. Na środku najgłębszego jeziora świata przejeżdżałem nad dwumetrową szczeliną po deskach. Kilka razy udało mi się „zatańczyć” na lodzie. Przy tej masie auta i dużej prędkości były to naprawdę ekscytujące momenty.

Byłem w wielkim błędzie, myśląc, że pojedziemy na azymut w kierunku drugiego brzegu. Cała przeprawa, około 70 km, zajęła nam prawie 5 godzin, wliczając w to przystanki i przeprawy przez szczeliny. Jechaliśmy z prędkością od 5 km/h do nawet 100 km/h na odcinkach czystego lodu. Było ich jednak niewiele. Ruchy tektoniczne, wiatr i śnieg robią swoje. Powierzchnia była pełna niebezpiecznych fragmentów, często ukrytych pod śniegiem. Z tego powodu jechaliśmy w większości w jednej linii, utrzymując bezpieczną odległość. Co jakiś czas mogliśmy nacieszyć się tym magicznym miejscem, spacerując po lodzie. Pogoda była wymarzona. Co prawda czuło się chłód, ale zalewające Bajkał słońce tworzyło naprawdę przyjemne warunki.

Kilka razy pod przejrzystym lodem podziwiałem przesuwające się ogromne bańki powietrza. Grubość pokrywy lodowej waha się od 50 cm do 2 m. Miałem wrażenie, że tam, gdzie spacerowałem, była to ta cienka warstwa. Zachwyliła mnie niepowtarzalność tych pejzaży. Zostały tylko w mojej głowie i na zdjęciach. Kiedy w maju lód stopniał, bezpowrotnie zniknęły. ○

OMINIESZ NUDE W UŁAN UDE

W stolicy Buriacji kicz miesza się z klasyką. Drewniane domy z końca XIX w. stoją obok kartonowych lepianek. Dodaje to jednak kolorytu. Spacer po mieście nie należy do nudnych.



Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



Ewa Serwicka

ŚWIĘTY MIKOŁAJ

ISTNIEJE!



Uśmiechnięty elf w wełnianym kubraczku i spiczastej czapce powoli otwiera ciężkie drewniane drzwi, które skrzypią cichutko, a następnie czyni ręką zapraszający gest, mówiąc, że Święty Mikołaj jest gotowy i na mnie czeka.



BIAŁE ŚWIĘTA

Magia zimy na kole podbiegunowym – śnieg podkreśla świąteczną atmosferę panującą w wiosce Mikołaja.



Nieśmiało zaglądam i wchodzę do przytulnie urządzonego pokoiku, pełnego świątecznych ozdób i ładnie zapakowanych prezentów. Na wyłożonej drewnianymi deskami ścianie wisi stara mapa świata, obok stoją półki z książkami, a na podłodze leży wełniany dywanik. Środek pokoju zajmuje wielkie drewniane krzesło, obok którego stoi ławeczka z miękkim siedziskiem. Na krześle zasiada sędziwy, brodaty mężczyzna w czerwonym płaszczu i charakterystycznej czapce z pomponem. Zza niedużych, drucianych okularów ledwo widać pełne mądrości i życiowego doświadczenia błękitne oczy. Siwa broda sięga mu aż do kolan. To Święty Mikołaj we własnej osobie, ten jedyny, prawdziwy! Przyjaznym gestem zaprasza mnie, bym zajęła miejsce obok niego i wyszeptala mu do ucha świąteczne marzenia.

OD MITRY PO POMPON

Pierwowzorem postaci Świętego Mikołaja był biskup Mikołaj z Miry, leżącej na terenie dzisiejszej Turcji, święty katolicki i prawosławny, żyjący prawdopodobnie na przełomie III i IV w., chociaż historycy mają wiele wątpliwości co do istnienia tej postaci. Mimo to w kolejnych stuleciach pojawia się coraz więcej przekazów na jego temat, a popularność kultu tego świętego rośnie. Biskup jest ukazywany jako osoba niezwykle wrażliwa na los biednych, czyniąca wszystko, by nieść pomoc potrzebującym. Jedna z legend mówi, że kiedy Święty Mikołaj dowiedział się, że jego ubogi sąsiad postanowił sprzedać swoje trzy córki do domu publicznego, wrzucił przez komin trzy mieszki z pieniędzmi, które wpadły do suszących się

przy palenisku butów córek, co pozwoliło im uniknąć haniebnego losu. Nawiązaniem do tej właśnie legendy jest tradycja wystawiania butów lub wieszania skarpetek przy kominkach w noc poprzedzającą dzień Świętego Mikołaja, czyli 6 grudnia. Tym, którzy nie wystawią butów, Mikołaj wsuwa delikatnie podarki pod poduszkę.

Jak to się stało, że pochodzący z południa dostojny biskup w mitrze i z pastorałem w ręku przemienił się w rubasznego dziadka w czerwonym kubraczku i charakterystycznej czapce, który zamieszkał za kołem podbiegunowym? Nie ma w tym nic niezwykłego – tradycje ewoluują, różnorakie kultury mieszają się ze sobą, artyści poprzez swoją interpretację zdarzeń odciskają na nich piętno, a ludzie adaptują nowe idee. W ten sposób od czasów reformacji przynoszący prezenty starzec zaczął pojawiać się coraz częściej w noc wigilijną, zamiast 6 grudnia. Reformatorzy chcieli zastąpić jego postać Dzieciątkiem



FOT. EWA SERWICHA

Jezus, ale Mikołaj okazał się silniejszy, chociaż w niektórych regionach do dzisiaj za prezenty w Wigilię odpowiada Dzieciątko. Prawdopodobnie w pierwszej połowie XIX w. dzisiejszy Święty Mikołaj przeniósł się na zaśnieżone tereny – niektórzy wierzą, że jest to koło podbiegunowe, inni umiejscawiają jego siedzibę na samym biegunie północnym. Za sprawcę tej przeprowadzki uważa się amerykańskiego poetę Clementa Clarke'a Moore'a. W wierszu „Noc wigilijna” opisuje on wizytę Świętego Mikołaja, który zatrzymuje ciągnięte przez osiem reniferów sanie na dachu domu, a następnie gramoli się przez komin z workiem pełnym zabawek.

Z kolei za dzisiejszy wygląd Świętego Mikołaja odpowiada w dużym stopniu amerykański rysownik Thomas Nast. Przedstawił on tę postać jako grubego, uśmiechniętego staruszka już w 1863 r., jednakże to jego ilustracja z 1881 r., pokazująca Mikołaja w elfiej czapce zamiast mitry, zyskała dużą popularność i wpłynęła na jego postrzeganie. Dzisiejszy wizerunek Świętego Mikołaja w czerwonym płaszczu i elfiej czapce na dobre spopularyzował w latach 30. XX w. koncern Coca-Cola. Postać narysowana przez artystę Haddona Sundbloma stała się tak bardzo rozpoznawalna na całym świecie, że dzisiaj wiele osób wierzy, że to właśnie ten producent napojów stworzył nowoczesny image Mikołaja.

HUSKY LUBI POHASAĆ

Te piękne psy uwielbiają biegać. Psie zaprzęgi to tradycyjny sposób podróżowania w arktycznych rejonach.





ZAPRĘG RUDOLFA

Renifery czekają na tych, którzy chcą przez chwilę poczuć się jak Święty Mikołaj w noc wigilijną i pokierować saniami.

LISTY DO M.

Gdzie dzisiaj mieszka Święty Mikołaj? Tego nie wie nikt na pewno, chociaż kilka krajów, takich jak Kanada, Norwegia czy Szwecja, twierdzi, że to właśnie ich terytorium ten przyjazny staruszek wybrał na swoją siedzibę. Dokładna lokalizacja jego domu jest trzymana przez elfy w tajemnicy, by dać mu trochę prywatności po pracy, ale jedno z najsłynniejszych biur Świętego Mikołaja znajduje się nieopodal fińskiego miasteczka Rovaniemi, dokładnie na kole podbiegunowym, w wiosce otwartej od 1985 r. Działa ona nieprzerwanie przez cały rok, a wizyta zawsze wywołuje uśmiechy na twarzy, zarówno u dzieci, jak i dorosłych z całego świata. By jednak poczuć magiczną, świąteczną atmosferę, najlepiej wybrać się tam zimą.

Zamiast od razu biec na spotkanie ze Świętym Mikołajem, postanawiam dawkować sobie emocje i dzień rozpoczynam od wizyty w mikołajowym urzędzie pocztowym. To tutaj docierają listy z całego świata. W każdym kącie stoją skrzynie wypełnione kopertami, a w nich znajdują się kartki, na których dzieci zapisały swoje największe marzenia. Praca w re przy sortowaniu, otwieraniu i przekazywaniu ich Mikołajowi, a on po godzinach urzędowania w biurze znajduje jeszcze czas, by przeczytać każdą wiadomość, którą się do niego wysła. Rocznie dostaje aż pół miliona listów z całego świata!

Z poczty mogą także korzystać goście Świętego Mikołaja, którzy chcą wysłać pozdrowienia do domu. Uśmiechnięte elfy sprządzają świąteczne pocztówki i znaczki, a każda





FOT. EWA SERWICKA

docierają do dzieci na całym świecie. Bez nich Mikołaj sam by sobie przecież nie poradził. Przewodzi im słynny Rudolf, posiadacz wielkiego czerwonego, świecącego nosa, który szczególnie dobrze sprawdza się we mgle lub przy zamieci śnieżnej. Rudolf wraz z kuzynami mieszkają za biurkiem Świętego Mikołaja, tam więc kierują kolejne kroki. Główny bohater niestety odpoczywa, nabierając sił przed świętami, ale spotykam inne renifery, które aż rwą się do tego, by zabrać odwiedzających na przejażdżkę saniami.

Nie tylko Święty Mikołaj, ale każdy, nawet zwykły śmiertelnik, może przejechać się w zaprzęgu ciągniętym przez renifera po zaśnieżonym lesie na tyłach wioski. Wskakuję więc na sanie i przykrywam nogi ciepłym futrem. Przemiły elf tłumaczy, jak prowadzić sanie – by jeździć nimi po ziemi na szczęście nie trzeba znać żadnych czarodziejskich zaklęć i sztuczek. Wystarczy lekko pociągnąć lejce w tym kierunku, w którym chcemy, by renifer skręcił. Magii używa się dopiero wtedy, kiedy sanie mają się wzbicć w przestworza. Pada śnieg, pada śnieg, dzwonią dzwonki sań – popularna piosenka rozbrzmiewa mi w głowie, kiedy powoli suniemy przez pokryte białą pierzyną lasy.

W wiosce nie brakuje także innych zimowych atrakcji. Miłośnicy adrenaliny mogą skusić się na przejażdżkę skuterem śnieżnym oraz zajrzeć do muzeum poświęconego tym pojazdom. Warto także odwiedzić pełne energii psy

TĘDY NA DYWANIK

Biuro Świętego Mikołaja to najważniejsze miejsce w wiosce. Właśnie tutaj można z nim porozmawiać i zapewnić, że było się grzecznym.

kartka, list czy paczka nadana w tym wyjątkowym urzędzie pocztowym jest ostemplowana mikołajową pieczęcią z koła podbiegunowego. Historycznie wioska znajdowała się bowiem na jego linii, na 66°33'07", jednakże wskutek zmian kąta nachylenia osi Ziemi linia ta jest obecnie przesunięta bardziej na północ. Mimo to każdy, kto chce, może także dostać stempel w paszporcie, potwierdzający, że jego noga stanęła na kole polarnym.

BANDA RUDOLFA

Wizyta u Świętego Mikołaja nie byłaby pełna, gdyby nie można było spotkać jego niezwykle ważnych pomocników – reniferów. Przecież to one każdego roku ciągną mikołajowe sanie w wigilijną noc i sprawiają, że podarki



FOT. EWA SERWICKA



FOT. EWA SERWICKA

LUDZIE LISTY PISZA

Elfy przez cały rok pracują na najwyższych obrotach, sortując listy do Świętego Mikołaja, które przychodzą tutaj z całego świata.

husky, które uwielbiają biegać w zaprzęgach. Nie brakuje sklepów z mikołajowymi pamiątkami ani restauracji, gdzie można się posilić i rozgrzać przed dalszą eksploracją wioski. Ciekawie prezentuje się też wystawa związana z tradycjami świątecznymi z całego świata.

CZY BYŁAŚ GRZECZNA?

Najpiękniej w wiosce robi się o zmroku, kiedy rozświetlają ją miliony lampek z bożonarodzeniowych dekoracji. Z głośnika na placu przed biurem Świętego Mikołaja dobiegają dźwięki kolęd i innych świątecznych melodii. Z nieba sypią się płatki śnieżnego puchu. Śnieg skrzypi pod butami, kiedy przechodzę pod świecącą na niebiesko linką wyznaczającą koło podbiegunowe. Wokoło rozbrzmiewa radosny śmiech dzieci, które właśnie spełniły marzenie, by spotkać Mikołaja. Uśmiecham się szeroko sama do siebie, bo wiem, że za chwilę ja również będę mogła z nim porozmawiać.

Jego biuro jest położone w samym sercu wioski, zaraz obok ogromnej choinki udekorowanej flagami z całego świata i świątecznymi

lampkami. Mieści się w drewnianym domu ze spiczastym dachem. Na drzwiach wisi ogromny napis z informacją, że to tu znajdziemy Świętego Mikołaja. Zaglądam do środka i podążam za strzałkami kierującymi mnie do korytarzyka wyłożonego czerwonym dywanem. Po wejściu trzeba trochę odczekać w kolejce, bo chętnych do spotkania nie brakuje.

Wizyta trwa krótko, by dać szansę każdemu na chwilę rozmowy. Witamy się, a potem Mikołaj zachęca mnie do powiedzenia mu o swoich świątecznych marzeniach i życzeniach. Pyta, skąd jestem, i oczywiście upewnia się, że byłam grzeczna. W międzyczasie energiczne elfy robią nam kilka pamiątkowych zdjęć. Po chwili przychodzi czas, by się pożegnać i czekać do Wigilii na spełnienie marzeń.

MIKOŁAJOWA ROZRYWKA

Jeżeli wizyta w wiosce Świętego Mikołaja pozwala obudzić dziecko drzemiące w każdym z dorosłych, to chwile spędzone w nieodległym Mikołajowym Parku (Santa Park) dają

temu dziecku możliwość wspaniałej zabawy. Ten park rozrywki o świątecznej tematyce leży dwa kilometry od mikołajowej wioski i znajduje się w podziemnej pieczarze. Atrakcje i dekoracje sprawiają, że każdy może poczuć się, jakby nagle został przeniesiony do baśni.

Do środka prowadzi ciemny, delikatnie oświetlony tunel pełen dźwięków przypominających wycie arktycznego wiatru, który potęguje uczucie tajemniczości. Jednak w samym parku panuje świąteczna atmosfera. Radosne elfy zapraszają do tutejszego oddziału mikołajowej poczty, gdzie można zobaczyć magiczną sortownicę listów, a pocztówki wypisuje się za pomocą gęsiego pióra. Słodki, korzenny zapach prowadzi do piekarni, zarządzanej przez żonę Świętego Mikołaja, pod której czujnym okiem elfy i zwykli ludzie mogą nauczyć się dekoracji pysznych pierników. Jest też szkoła kaligrafii, a także warsztat elfów, w którym można stworzyć własne figurki i ozdoby świąteczne.

Elfy zapraszają wszystkich do przejażdżki magicznymi saniami przez arktyczną krainę oraz na pokaz akrobacji na scenie znajdującej

się w samym centrum jaskini. Jest też czaro-dziejska szkoła elfów, gdzie można się nauczyć podstawowych zaklęć i sztuczek oraz umiejętności potrzebnych każdemu elfowi, takich jak zagłądanie przez okno i skradanie się na paluszkach. W jaskini można się też oczywiście spotkać z samym Świętym Mikołajem, który również tu ma swoje biuro. Zaglądam więc do środka, a Mikołaj uśmiecha się na mój widok. Ponownie zapewniam go, że byłam grzeczna, a on obiecuje mi górę prezentów.

Mam jednak wątpliwości, jak to możliwe, że Mikołaj urzęduje zarówno tutaj, jak i w wiosce. Elfy tłumaczą mi, że podróżuje on szybko podziemnym tunelem, tak by móc spotkać jak największą liczbę osób. Nie do-wierzam jednak i pytam, jak to jest możliwe. Z rozbajającym uśmiechem elf rzuca tylko jedno słowo: – *Magia!* – I wszystko jasne... Ktoś mógłby powiedzieć, że wioska Świętego Mikołaja to atrakcja wyłącznie dla dzieci, a on sam nie jest prawdziwy, jednak wystarczy zostawić powagę w domu i popuścić wodze fantazji, by nawet dorośli poczuli się znowu jak dzieci. A Mikołaj jest prawdziwy. Przecież spotkałam go osobiście! ○



Ewa Serwicka

Od ponad siedmiu lat pracuje w branży turystycznej, dzięki czemu mieszkała już w Portugalii, Bułgarii, Hiszpanii, Grecji czy Kenii, o której napisała przewodnik. Podróże fascynują ją od dzieciństwa. W ich trakcie robi zdjęcia, które potem publikuje na blogu wraz z historiami z odwiedzonych krajów.

www.dalekoniedaleko.pl

DZIEKIEM BYĆ
Zlokalizowany
w podziemnej jaskini
Park Świętego Mikołaja
to miejsce, w którym
mali i duzi na równi
mogą poczuć radosną
świąteczną magię.





POWRÓT NA ZIELONE WZGÓRZE

Agnieszka Mikulec

Spełnię największe marzenie z dzieciństwa – pomyślałam, kiedy kupiłam bilet lotniczy do Kanady. Poszukam śladów Lucy Maud Montgomery – postanowiłam. Na pewno spotka mnie tam coś niesamowitego. Rozmarzyłam się jak Ania Shirley, bo to właśnie ona rozpałała kiedyś moją wyobraźnię i zainspirowała do bliższego poznania P.E.I., jak często skraca się nazwę Prince Edward Island.



FOTOKOSPAW – SHUTTERSTOCK

Jadę imponująco długim mostem Konfederacji, który połączył wyspę ze stałym lądem w 1997 r. Pulsujące światła z napisem „Zero tolerancji” i przekreśloną ikoną komórki przypominają, że na moście obowiązuje całkowity zakaz rozmów telefonicznych, a kary za jego złamanie są wysokie (575 dolarów). Już przy pierwszym poznaniu mam ochotę nazwać tę ziemię Ziemniaczaną Wyspą na czerwonych glebach. Wyspa Księcia



FOT. AGNESZKA WALEC

Edwarda to zagłębie bulw, stąd też nie dziwi, że właśnie tutaj, a dokładnie w O’Leary, znajduje się Kanadyjskie Muzeum Ziemniaka. Budynku nie sposób przeoczyć na trasie ze względu na postawionego przed nim ogromnych rozmiarów kartofla. Mimo że objechałam wyspę wzdłuż i wszerz, to w myślach i w sercu pozostanie to, do czego niemal pielgrzymowałam, czyli miejsca związane z Lucy Maud Montgomery.

LUCY MAUD Z WYSPY KSIĘCIA EDWARDA

Dzięki internetowi poznaję Bernadkę Milewski – Polkę, pasjonatkę twórczości Montgomery. Jest niezwykle otwartą, ciepłą osobą, a w dodatku mieszka w Corner Park, w domku, który od Muzeum Ani z Zielonego Wzgórza dzieli tylko Jezioro Lśniących Wód. Dzięki niej moje poszukiwanie śladów Ani Shirley staje się jeszcze bardziej fascynujące.

Nasze spotkanie rozpoczynamy od wizyty w Złotym Brzegu, czyli domu senatora Donalda Montgomery, dziadka pisarki. Otwiera nam drzwi przystojny i uśmiechnięty mężczyzna z rodu Montgomerych, Paul, który pozwala – dzięki nieocenionej Bernadce – na swobodne penetrowanie zakątków domu, pełniącego obecnie funkcję kameralnego hoteliku. Każdy pokój nosi inną nazwę, np. Blue Moon, Anne, Rilla i oczywiście Lucy Maud. Na poddaszu znajdują się pomieszczenia, które w dawnych czasach zajmowała służba. Dominuje prostota i niepowtarzalny urok XIX stulecia. W salonie, na drewnianej podłodze, ustawiono wiekowe

ZIELONO MI!

Choć Zielone Wzgórze to nie miejsce napisania książki o Ani, ciągną tutaj tłumy turystów, by poczuć klimat XIX-wiecznego domu. Akwarele, grafiki, malowanki – wszystko to daje złudzenie, jakby przeniesli się do świata bohaterki, która rozpałała ich wyobraźnię w dzieciństwie.



meble. Mały, okrągły stół i krzesła na wygiętych nóżkach czekają na gości, kominek wspomina czasy, kiedy trzaskał w nim ogień. Senator dumnie spogląda z portretu – nie spodziewał się, że kiedyś ten dom będą chciały odwiedzać rzesze wielbicieli twórczości jego wnuczki.

Wychodząc ze Złotego Brzegu, nieoczekiwanie spotykamy Roberta Montgomery, który zaprasza nas do swojego domu, aby pokazać...



FOT. BERNADĘTA MILEWSKI

psa. Gog i Magog to porcelanowe figurki, które Lucy Maud opisała w tomie „Ania na uniwersytecie”. Podobne przywiozła z podróży poślubnej, a one strzegły jej biblioteczki w Leaskdale w stanie Ontario, gdzie zamieszkała po ślubie. Gog spadł ze stołu podczas porządków wiele lat temu (pod koniec XIX w.) i rozbił się na wiele kawałków, które niestety wyrzucono. Robert na pozór wydaje się niedostępny, ze smutkiem opowiada o niedawno

zmarłej żonie, ale potrafi też żartować, chętnie pozuje do fotografii z nami i Magogiem przed swoim skromnym domem. Tłumaczy, że od śmierci żony nie zaprasza nikogo.

Następnie wraz z moją przewodniczką udajemy się samochodem na prywatną posesję, absolutnie niedostępną dla turystów, gdzie od wielu lat stoi niepozorny, niczym niewyróżniający się szary domek. Bernadka tajemniczym głosem obwieszcza: – *Przed nami kuchnia domu Macneillów*. Moje zmarszczone czoło i zdziwienie ją rozbawia, więc szybko wyjaśnia: – *To ta sama kuchnia, w której została napisana „Ania z Zielonego Wzgórza”*. Macneillowie byli dziadkami Lucy Maud ze strony matki, po której śmierci zajęli się dziewczynką. Maud tworzyła głównie w kuchni, bo tam było ciepło – babka była skąpa i wymawiała pisarce wszelkie zbytki.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia, pora więc wreszcie na Muzeum Ani z Zielonego Wzgórza w Park Corner i spotkanie z jego kustoszka, Pam, której pradziadkowie Campellowie gościli w murach swego domu (obecnego muzeum) swą krewniaczkę – Lucy Maud Montgomery. Przyjeżdżała do nich w dzieciństwie, by bawić się z kuzynostwem. Do tej pory spostrzegawczy turyści mogą zauważyć gwóźdź w ścianie, gdzie mała Lucy Maud

W ROLI ANI SHIRLEY

Aby wprowadzić turystów w klimat epoki i dopełnić ich wyobrażenia o rudolosej bohaterce, Pam Campell zatrudnia miejscowe dziewczynki do roli Ani. Czasem bywa nią Nadia Anna – córka Bernadety Milewski.

MIEDZY FIKCJĄ A KOMERCJĄ

Każdy ma swoje wyobrazenie fikcyjnej bohaterki, mają je również projektanci typowych gadżetów, które niekoniecznie podobają się wszystkim wielbicielom Ani.



FOT. AGNIESZKA MIKULEC

DOM MAUD

Słynna pisarka przysłała na świat w tym typowym dla kanadyjskiej prowincji domu.



sprawdzała, ile urosła za każdym razem, kiedy tutaj przybywała. Później, po przedwczesnej śmierci matki, szukała wsparcia w ramionach Annie Campbell, siostry mamy, i czerpała inspirację dla swojej twórczości. Tutaj wreszcie, w salonie przed kominkiem, wzięła ślub

z prezbiteriańskim pastorem Ewenem Macdonaldem. Do tej pory wielbiciele pisarstwa Lucy Maud Montgomery mogą zamówić ślub w tym miejscu, a potem urządzać przyjęcie na pobliskiej plaży.

W salonie w rogu stoi fisharmonia, na której grano w czasie ceremonii zaślubin. Jakież jest moje zdziwienie, kiedy Pam ściąga tabliczkę informacyjną o ekspozycji z krzesła przy instrumencie i zaprasza mnie do zagrania czegoś. Wzruszenie odbiera mi mowę. Kładę palce na klawiaturze niczym na relikwiach i nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę! Bernadka podpowiada, że za dwa dni będą urodziny Pam, więc postanawiam zagrać i wraz z nią zaśpiewać po polsku „Sto lat”. Po wykonaniu utworu widzę serdeczny uśmiech na twarzy krewnej Maud. W ramach wdzięczności raczy nas prawdziwym sokiem malinowym. W książce Ania Shirley, na skutek pomyłki, upiła swoją przyjaciółkę winem, sądząc, że częstuje ją właśnie sokiem malinowym. Stąd też w sklepach dla turystów sprzedaje się napój w szklanych butelkach z podobną Ani, będący imitacją tego prawdziwego. W domowym soku, który własnoręcznie przygotowała Pam, czuję maliny w stu procentach i to jest właśnie przywilej – w znaczeniu dosłownym i przenośnym – zwiedzania tego miejsca od kuchni.

Podobnie jak bohaterka jej powieści, Maud często uciekała w krainę wyobraźni.

MALINOWY BIZNES

Sok z wizerunkiem Ani sprzedaje się dobrze, ale raczej nie przypomina w smaku tego, którym mogła się delectować Lucy Maud Montgomery.





WSZĘDOBYLSKA

Fikcyjnej Ani Shirley wszędzie było pełno, podobnie jest w rzeczywistości – jej podobizna pojawia się w sklepach, teatrach, muzeach.

Przypomina o tym serwantka w salonie – pierwowzór mebla, w którego odbiciu Ania dostrzegła swoją przyjaciółkę Katie. Na ścianie wisi, oprawiona jak obraz, kopia ostatniego listu powieściopisarki do Jima, ojca Pam, w którym opisuje, jak bardzo jest chora, i wie, że już nigdy nie zobaczy Park Corner. Na piętrze oglądam skromny pokój autorki, gdzie ciekawym eksponatem jest gablota z rzeczami, które zostały opisane w „Historynce” jako zawartość niebieskiej skrzyni. W kolejnym pomieszczeniu zaprezentowano „szaloną narzutę” w stylu patchworkowym. Pisarka robiła ją (w odstępach czasowych) przez 5 lat, a kiedy skończyła, stwierdziła, że niestety już nie jest modna.

Kiedy wychodzę z muzeum, nie czuję, że wróciłam do XXI w., ponieważ dostrzegam Mateusza Cuthberta. Nie! Przecież to postać fikcyjna! Dla potrzeb turystów zorganizowano przejażdżki bryczką po okolicy, a woźnica to wypisz, wymaluj opiekun Ani – cichy i dobry Mateusz.

BERNADKA Z BŁĘKITNEGO KSIĘŻYCA

Po intensywnie wypełnionym przedpołudniu Bernadka zaprasza mnie do swojego domku. Poznaję jej uroczą 10-letnią córkę Nadię Annę, która czasem odgrywa rolę Ani

w muzeum, oraz sympatycznego męża. Już na pierwszy rzut oka widać, że właścicielka jest wielbicielką „Ani z Zielonego Wzgórza”, a dom, który nazwała Blue Moon, ma duszę. Wiszą bukiety lawendy, na ścianach dostrzegam obrazy inspirowane książką i pejzażami

GRAŁA MACDONALDOM

Ta zabytkowa fisharmonia była świadkiem ślubów wielu osób, w tym Lucy Maud Montgomery i Ewana Macdonalda.





PRZYSTAŃ CZTERECH WIATRÓW

French River
to urokliwe miejsce,
które stało się
pierwowzorem
literackiej Przystani
Czterech Wiatrów,
wymyślonej przez Lucy
Maud Montgomery.

wyspy, z półki uśmiecha się do nas unikatowa, ręcznie robiona lalka przedstawiająca Anię Shirley – to podarunek od kochającego męża. Za oknem Jezioro Lśniących Wód (w rzeczywistości staw Cambellów) i biały budynek Muzeum Ani z Zielonego Wzgórza. Widok za milion dolarów. Na stole pojawia się porcelana z Bolesławca ze smaczną herbatą i talerz pysznych ciastek.

Bernadka opowiada o okolicznościach zakupu domu – pomógł jej w tym Robert Montgomery, wnuk wuja Lucy Maud, ten, który

pokazał nam Magoga. Moja gospodyni obecnie mieszka w USA, tutaj przyjeżdża głównie w wakacje i już zdążyła się doskonale zintegrować z lokalną społecznością. Mówi: – *Czuję się tutaj nie tylko akceptowana, ale i bardzo lubiana.* Pochodzi z Żor i jako mała dziewczynka w latach 80. zaczytywała się w książkach kanadyjskiej pisarki. Już wtedy postanowiła, że w przyszłości trafi na Wyspę Księcia Edwarda. Dorosli potraktowali jej dziecięce marzenia z pobłażaniem i dobrotliwym uśmiechem, szczególnie w kontekście sytuacji politycznej



panującej wówczas w Polsce. Jednak marzenia się spełniają i to tak, że sama Bernadka nie oczekiwała ich w najśmielszych snach. Moja przewodniczka zna te okolice jak własną kieszeń, dzięki temu może oprowadzać po wyspie wielbicieli L.M.M. Poza tym współpracuje ze znawcami twórczości autorki nad nowym wydaniem jej „Dzienników”. Upływają minuty, kwadransy, a z tego domu nie chce się wychodzić. Jednak trzeba, ponieważ przede mną jeszcze Cavendish i Zielone Wzgórze.

ANIA Z ZIELONEGO WZGÓRZA

Jak się okazuje, na Zielonym Wzgórzu pojawię się dwa razy. Po południu, aby zobaczyć wewnątrz, kiedy muzeum jest otwarte, oraz wieczorem, bez tłumów turystów. Cóż... moje marzenie się spełnia, gdy z entuzjazmem i ciekawością zaglądam niemal w każdy kąt pokoiku. Nie rozczarowuję się, wygląda jak ten z mojej wyobraźni! Rozłożone na łóżku sukienki (bez bufiastych rękawów, o których marzyła bohaterka), zielona pelargonja

w glinianej doniczce (rudowłosa dziewczynka nazwała ten kwiat Jutrzenką), zniszczony kuferek podróżny – sprawiają wrażenie, jakby Ania wyszła stąd tylko na chwilę. Spoglądam przez okno i... jest! Rozłożysta wiśnia, nazwana przez bohaterkę Królową Śniegu: „Prawda, że ona nie zawsze stoi w kwieciu, ale można to sobie wyobrazić”. Zastygam, pozwalając się ponieść wyobraźni. Jednak turyści wybudzają mnie z tego snu na jawie. Idę dalej do pokoju Maryli, gdzie chcę zobaczyć słynną ametystową broszkę, przechodząc przez

prawie pustą kuchnię, zaglądam do spiżarni, gdzie podświadomie szukam nieszczęsnego wina porzeczkowego.

Wracam na teren muzeum wieczorem. Spaceruję Aleją Zakochanych – to wąska droga wśród drzew, z cichutko szemrzącym strumieniem. Przemierzam Las Duchów, pełen drzew i krzewów o powyginanych pniach, które wobec zapadającego zmroku mogą wydawać się niekoniecznie przyjemne, a w wyobraźni Ani urastały do rangi potworów. Nikogo nie ma, a ja na koniec dnia mogę posiedzieć w ogródku pełnym kwiatów i patrzeć w zielone okienko na poddaszu. Staję się dzieckiem i wypatruję w nim rozmarzonej, rudowłosej dziewczynki o piegowatej twarzy, której Zielone Wzgórze dało tyle szczęścia. Nie byłoby tej fikcyjnej dziewczynki, gdyby nie wrażliwe, twórcze dziecko, którego nie oszczędziło życie, a była nim Lucy Maud Montgomery.

Z żalem opuszczam miejsce, w którym byłam tyle razy w wyobraźni, ale powtarzam w duchu: wrócę tu jeszcze. ○



Agnieszka Mikulec

Animatorka kultury polskiej w kraju i za granicą. W podróżach nade wszystko ceni spotkania z ludźmi. Ma na swoim koncie publikacje dydaktyczne m.in. dla Narodowego Instytutu Audiowizualnego i wydawnictwa Rubikon.

NAD JEZIOREM LŚNIĄCYCH WÓD

Każdy wielbiciel Ani Shirley może pozazdrościć Bernadce Milewskiej domu z widokiem na Jezioro Lśniących Wód i Muzeum Ani z Zielonego Wzgórza.



GEOSKOP

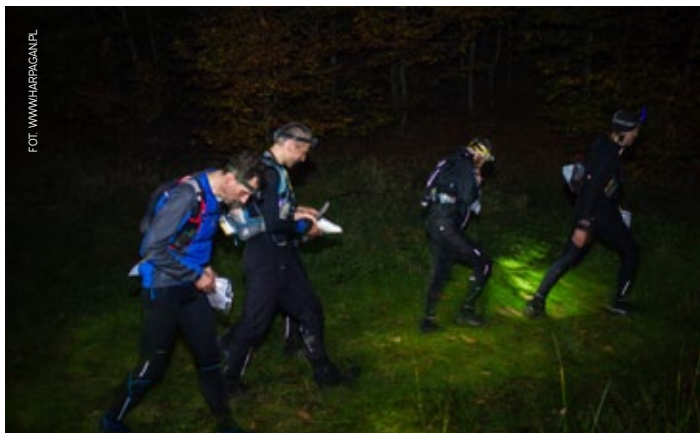
OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

ORIENTUJ SIĘ NOCĄ

Organizator Ekstremalnego Rajdu na Orientację Harpagan zaprasza na klasyczne nocne marsze na orientację Harce Prezesa. Najbliższa edycja odbędzie się w nocy z 14 na 15 grudnia. Uczestnicy mają do wyboru wiele tras pieszych. Dla fanów spacerów z czworonogami przygotowano trasę dogtrekkingową. Dla żądnych przygód i fanów długich wędrówek idealne będą trasy 20 i 30 km. Uczestnicy korzystają z otrzymanych kolorowych map, na których są zaznaczone punkty kontrolne. Ich charakterystyka jest zróżnicowana: mogą to być zarówno elementy topograficzne, jak i krajoznawcze. Harce Prezesa to marsze na orientację w tradycyjnej formie – od uczestników jest wymagana precyzja, bo w terenie czekają punkty mylne.

Baza imprezy jest w Gdańsku, a areną zmagania będą lasy wokół Otomina i Kolbud. Na każdej z tras uczestnicy mogą skorzystać z przerwy przy ognisku. Podczas zakończenia zostaną rozlosowane nagrody. Harce Prezesa to niezwykły klimat i okazja do ruszenia z mapą z przyjaciółmi i rodziną. harpagan.pl/harce



FOT. WWW.HARPCAN.PL

INDIE KRETA

Indie to kobiety w sari, zaklinacze węży i Tadź Mahal. Intensywne kolory i aromatyczna kuchnia. Upał, święte krowy i kropki na czołach. Religia, która każe wciąż i wciąż rodzić się na nowo. Kasty i ogromna liczba ludności... Mamy tych skojarzeń sporo. Co tak naprawdę się za nimi kryje? Czym rzeczywistość jest Tadź Mahal? Jak dotkliwy może być upał? Na czym polega różnica między stanami społecznymi a kastami? Czy słońce chodzą po ulicach? W czym tkwi istota niezwykłej kuchni indyjskiej? Czy Indira Gandhi była córką Mahatmy Gandhiego? Jeśli chcecie doświadczyć niezwykłości Indii, zajrzyjcie do tej książki. Znajdziecie tu odpowiedzi na powyższe i wiele innych pytań, rozwieją się wasze wątpliwości i zostanie obalony niejeden stereotyp.

Jarosław Kret – dziennikarz, fotoreporter, prezenter telewizyjny. Studiował egiptologię, archeologię śródziemnomorską, afrykanistykę i kulturoznawstwo. Autor wielu książek podróżniczych. Wydawnictwo Burda Media.



10. PODKARPACKI KALEJDOSKOP PODRÓŻNICZY

W dniach 7–9 grudnia odbędzie się dziesiąta edycja Podkarpackiego Kalejdoskopu Podróżniczego. Planowane są liczne pokazy fotografii oraz filmów prowadzone przez zaproszonych gości. To właśnie dzięki nim będzie można odbyć wirtualną podróż dookoła świata w przeciągu zaledwie trzech dni. Festiwal dynamicznie się rozwija i co roku jest bogatszy o nowe atrakcje – wystawy fotografii, warsztaty, koncerty muzyki świata.

Wśród prelegentów znajdują się m.in.: Leszek Cichy – zdobywca Mount Everestu zimą; Przemysław Kossakowski – znany z programów telewizyjnych; Marcin Żabowski – znakomity fotograf dokumentalny; Ola i Karol Lewandowscy – podróżnicy, ekipa projektu „Bussem przez świat”; Krzysztof Starnawski – światowej sławy nurek jaskiniowy i Tomek Michniewicz – autor bestsellerowych książek podróżniczych. kalejdoskoppodroznicy.pl/festiwal



ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

MIKOŁAJKOWY KOMPAS

8 grudnia w Gdyni-Karwinach odbędzie się rajd na orientację Mikołajkowy Kompas. Jak zapowiadają organizatorzy, na aktywnych czeka niezwykła, przedświąteczna atmosfera. Czekają również malowniczy, zjawiskowy las. Wszyscy uczestnicy mikołajkowego rajdu wystartują w czerwonych czapkach.

Do wyboru będzie aż pięć tras pieszych o zróżnicowanej trudności, a po drodze każdy będzie miał okazję spotkać Tajemniczego Gościa. Dla wszystkich uczestników organizatorzy szykują bogate pakiety startowe, mikołajkowe czapki, unikatowe numery startowe, obfity rajdowy bufet i nagrody, o które warto powalczyć. Będą losowane m.in. bilety na rejs do Szwecji na wiosenny Kompas Wikingów. Nie warto zasypiać zimowym snem, lepiej pozostać aktywnym. www.zkompasem.pl



18. FESTIWAL TERRA

Już po raz 18. w warszawskim kinie Wisła w dniach 1–2 grudnia odbędzie się Festiwal Slajdów Podróżniczych Terra. Przez dwa dni uczestnicy będą oglądać zdjęcia wyświetlane na wielkim ekranie oraz będą słuchać pełnych emocji i pasji relacji i historii podróżników, reporterów, fotografów. Festiwal Terra ma za zadanie przekonać widzów o wyższości kontaktu z żywym słowem nad innymi formami opowieści o podróżach.

W programie: rodzinna wędrówka przez Góry Skaliste w USA i Kanadzie, zdobycie 7 najwyższych szczytów Afryki, rowerowa ekspedycja przez zimowy Bajkał, przejazd autem od Ziemi Ognistej aż do Alaski przez dwie Ameryki, eksploracja Namibii, odkrywanie mało znanych zakątków Kuby, niezwykle historie zwykłych ludzi z Polski i przejście pieszo szlaku o długości 4700 km wzdłuż Pacyfiku. Wystąpią Robert Gondek, Kamila Kielar, Anna i Krzysztof Kobusowie, Jakub Rybicki, Krzysztof Story, Anna i Marcin Szymczakowie, Piotr Trybalski, Michał Woroch. www.festiwalterra.pl



RELACJA Z ZIMNEJ WYSPY



W 1613 r. brat czeski Daniel Vetter udał się w młodzieńczą, egzotyczną podróż na Islandię, którą opisał w pasjonującej relacji, wydanej w wielkopolskim Lesznie. Cztery lata później jego śladami na wyspę udał się Piotr Milewski i pozostawił swój opis.

Wydany przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Islandzkiej reprint dzieła Daniela Vettera wpadł

w ręce autora, gdy szukał inspiracji do podróży. Przeczytał go w jeden wieczór. Przerzucając ostatnią stronę, wiedział, że opisuje on dokładnie takie miejsce, jakie chce odwiedzić. Wtedy też zdał sobie sprawę, że właśnie przypada okrągła, czterechsetna rocznica wyprawy Daniela Vettera. Zapakował książkę Morawianina do plecaka i pojechał na Islandię.

Piotr Milewski – wędrowiec, pisarz, fotograf. Dziewięć lat spędził w Japonii. Autor bestsellerowych książek „Transsyberyjska. Drogą żelazną przez Rosję i dalej” i „Dzienniki japońskie. Zapiski z roku Królika i roku Konia”. Wydawnictwo Świat Książki.

WIGILIA WŚRÓD ŁOWCÓW GŁÓW

oto kolejna wyprawa autora książki „Motocyklem przez Indie”. Oczywiście do Indii. Tym razem Witold Palak wraz z partnerką Dorotą Wójcikowską chcą spełnić swoje marzenie – spędzić święta Bożego Narodzenia wśród słynnych łowców głów, czyli członków indyjskiego plemienia Naga. Zdecydowali się do nich dotrzeć jak zwykle motocyklem. Podróżnicy od samego początku napotykały mniejsze i większe trudności: usiłują przebrnąć przez absurdy biurokracji, borykają się z brakiem benzyny, zdarza im się nawet stłuczka, po której nowiutki motocykl nie jest już taki sam. To ich jednak nie zniechęca, bo – jak się okazuje – tak naprawdę w podróży liczy się co innego. Życzliwość, otwarcie na świat i szansa na poznanie nowych, niesamowitych ludzi.

Ta książka nie jest przewodnikiem, choć autor zgromadził ogromny zasób wiedzy, którą chętnie dzieli się z czytelnikami. To przede wszystkim opowieść o ludziach, których los stawia na drodze podróżników. O kilku trudnościach i mnóstwie szczęścia. O spełnianiu marzeń i wysiłku, który trzeba włożyć w ich realizację. O tym, że czasem musimy pokonać swoje ograniczenia, by otworzyć się na drugiego człowieka i choć przez chwilę spojrzeć na świat innymi oczami. Wydawnictwo Bernardinum.



KOPALNIA SOLI

WIELICZKA

www.kopalnia.pl



1978-2018

NA LIŚCIE ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA





PROWANSALSKIE BETLEJEM

Mikołaj Wyrzykowski



Kraina lawendowych pól, spieczonych słońcem oliwnych gajów, winnic oraz rozśpiewanych cykad. Dla wielu marzeniem jest spędzenie tutaj lata. Mało kto jednak wie, jak bogate są prowansalskie zwyczaje świąteczne. Podczas gdy w większości regionów Francji Boże Narodzenie stało się świętem komercyjnym, tutaj stare tradycje nadal są żywe, a mieszkańcy kultywują je z upodobaniem równym nam, Polakom.



MARSYLIA POD ŚNIEGIEM

Przedświąteczny nastrój w marsylskiej dzielnicy portowej. Są choinki przyprószone sztucznym śniegiem i drewniane domki o dachach imitujących śnieg. No bo ten prawdziwy spada tutaj raz na dekadę.

Wszystko zaczyna się już 4 grudnia, czyli w dzień św. Barbary. W kościołach, piekarniach i na ulicy można wtedy nabyć *blé de la Sainte Barbe* (pszenicę św. Barbary), z czego dochód idzie zwykle na cel dobroczynny. Są to ziarna, które sieje się na trzech talerzykach wyłożonych mokrą bibułą. Znajdą się później na wigilijnym stole jako zapowiedź przyszłorocznych zbiorów – jeśli wyrosną proste i zielone, nie ma co się o plony martwić!

MALI ŚWIĘCI PRZECIW RÉWOLUCJI

Na początku grudnia w miastach rozpoczynają się jarmarki świąteczne. Główne aleje przepełnia zapach pierników, grzanego wina,

pieczonych kasztanów oraz wszechobecnej lawendy. Prawdziwie prowansalską tradycją jest jednak *marché aux santons* (kiermasz figurek bożonarodzeniowych), który ma miejsce m.in. na słynnej Canebière w Marsylii, w Aix-en-Provence oraz oczywiście w Aubagne, będącym kolebką glinianych figurek. To właśnie na *marché* udaje się wielu Prowansalczyków, aby – jak co roku – kupić jednego lub dwa *santons* i ubogacić swoje *crèches* (szopki bożonarodzeniowe). Te prowansalskie są jednymi z najstarszych na świecie, może dlatego, że u narodzin szopki stoi św. Franciszek z Asyżu, a przecież jego matka pochodziła z Tarascon w Prowansji.

Les crèches są więc zaludnione przez drobne, wyrabiane z gliny figurki. Ich nazwa pochodzi od prowansalskiego *santoun*, co oznacza „mały



święty”. Kiedyś były niezwykle kruche i pozbawione kolorów, aktualnie artyści wkładają je do mocno rozgrzanego pieca, aby następnie zabrać się do ręcznego i wymagającego niezwyklej precyzji nakładania farb.

Santons mierzą od kilku do kilkunastu centymetrów. Ich początki sięgają czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej, kiedy to zostały zamknięte drzwi kościołów w całej Francji, co miało udaremnić dalsze kultywowanie wiary. Ludzie byli jednak przywiązani do tradycji i w okresie świąt pragnęli, wedle zwyczaju, oglądać szopkę bożonarodzeniową. Prowansalczycy jako pierwsi zaczęli więc stawiać własne „Betlejem” w domach. W tym celu zabrali się do wyrabiania glinianych figurek. Były one malutkie i łatwe do ukrycia, co było



TEATR ODŚWIĘTNY

W tygodniach poprzedzających Boże Narodzenie grupy teatralne wychodzą na ulice, aby odgrywać małe sceny oraz śpiewać pastorałki. Na zdjęciu mieszkańcy Aix-en-Provence w tradycyjnych strojach prowansalskich.

koniecznie, ponieważ w przypadku wyjścia na jaw tej „konspiracji” groziła wręcz gilotyna.

Legendarnym twórcą *santons* był Jean Louis Lagnel. To on w 1798 r. wpadł na pomysł wyrabiania figurek, które mogłyby tworzyć miniaturową szopkę. Pomysł spodobał się również kilku innym artystom, którzy w ten sposób razem przyczynili się do zachowania regionalnych tradycji chrześcijańskich.

Wkrótce produkcja figurek wzrosła, a stajenka ograniczająca się do Świętej Rodziny, pasterzy i bydła przestała wystarczać. Do malutkiego Betlejem „zawitali” też i sami mieszkańcy Prowansji, a pośród nich takie postacie, jak: *le Ravi* (uliczny krzykacz, zawsze ze wzniesionymi ramionami), *l'Ange* (zapowiadający narodzenie Jezusa), *l'Arlesienne* (mieszkanka Arles), czyli kobieta w tradycyjnym stroju z Camargue. Pejzaż tworzą tu miejscowe rzeki, mosty, młyny, piekarnie, a jeśli na przykład jesteśmy w Aix-en-Provence, to nad wszystkim góruje Góra Świętej Wiktorii. Jest tak, jakby cała Prowansja, wraz z naturą i wszystkimi mieszkańcami, zebrała się wokół narodzin Jezusa. Do zwyczajowych figurek artyści wciąż dołączają nowe, a Prowansalczyki każdego roku wybierają się na

marché aux santons (najstarszy ma miejsce w Marsylii i sięga 1803 r.), aby wzbogacić szopki w swoich domach.

ROLADA W OGNIU

Historie poszczególnych *santons* są wyjaśnione w *les pastorales* (ludowe pastorałki), które w okresie przedświątecznym śpiewa się na placach oraz ulicach miast, w noc wigilijną zaś starsi przekazują ich słowa najmłodszym. Najśłynniejszą z nich jest „Pastorale Maurel”, którą w 1844 r. napisał mieszkaniec Marsylii, robotnik Antoine Maurel. Jej tematem jest pielgrzymka za *bello estello*, czyli gwiazdą betlejemską. Sztuka dzieli się tu na pięć aktów, w których m.in. starcy (*les vieux du village*) i pasterze (*les bergers*), obudzeni przez anioła, wyruszają oddać pokłon Dzieciątku Jezus. Przepiękna „Pastorale Maurel” jest wystawiana każdego roku w metropolii Aix-Marseille-Provence, przy czym aktorzy, ubrani w tradycyjne stroje, mówią oczywiście po prowansalsku – za wyjątkiem czwartego aktu, który przedstawia Heroda, oraz *les trois Mages*, czyli Trzech Króli.

Jest 24 grudnia. *Santons* oczekują już wokół stajenki, a *blé de la Sainte Barbe* wypuściło

WSZYSTKO DO STOŁU

Podczas zwyczajowego zwiedzania bożonarodzeniowego kiermaszu można skosztować grzanego wina i pieczonych kasztanów, a także kupić rękodzieło i wszystko, co niezbędne do wigilijnego stołu.





proste, zielone łodygi (znaki nadziei!). Rodzina zabiera się do przygotowywania *le gros souper* (obfitej kolacji), choć jest to raczej skromny posiłek, który często składa się z *omlette aux truffes* (omleta z trufkami), warzyw, *soupe de courge* (zupy dyniowej), *les escargots* (ślimaków), *brandade* (*purée* z dorsza) oraz owoców morza. Podobnie jak w Polsce, stół wigilijny ma tu ogromną wartość symboliczną: zwyczajowo powinno się znaleźć na nim siedem dań, które przypominają siedem boleści Maryi; stoją na nim również trzy świece mające przypominać Trójcę Świętą.

Ukoronowaniem posiłku jest *la bûche de Noël*, czyli rolada czekoladowa przypominająca polano. W Prowansji ta tradycja wywodzi się z prawdziwego pnia drzewa owocowego, przynoszonego przez dwóch członków rodziny, najstarszego i najmłodszego, którzy następnie okrążają stół trzy razy, a potem wrzucają polano do kominka. Jest ono na tyle potężne, że przykrywa ogień, ale po chwili dziadek polewa je winem i oliwą, wzniecając ponownie płomień. *La bûche de Noël* pali się zresztą po trochu każdego dnia, aż do *l'Épiphanie*, czyli przyjścia Trzech Króli. Jeśli coś zostanie z polana, dopala się je w trakcie burzy – aby chronić w ten sposób dom.

TRZYNAŚCIE DESERÓW

Po powrocie z pasterki, której przebieg czasami różni się w zależności od miasteczek, w domu czeka słynnych trzynaście deserów. Prawie każdy z nich niesie ze sobą pewne

znaczenie: figi, migdały, rodzynki i orzechy włoskie symbolizują cztery zakony żebracze, (franciszkanów, karmelitów, dominikanów oraz augustynów); daktyle przywołują obraz Jezusa przychodzącego ze Wschodu; czarny oraz biały *nougat de Montélimar* (nugat) podkreśla symbolikę mroku i światła. Do tego dołączają *calissons d'Aix* (malutkie słodkości z masy migdałowej, z których słynie Aix-en-Provence), *pâte de coing* (masa pigwowa), *oreillettes* (chruściki), świeże owoce oraz oczywiście ciasto *pompe à l'huile* (składające się z mąki, oliwy, cukru oraz wody z kwiatów pomarańczy), którym należy się łamać tak, jak naszym opłatkiem.

Święta się nie kończą. Trzynaście deserów, symbolizujących Jezusa oraz Apostołów, zostaje na stole przez kolejne dni. 25 grudnia rodzina ponownie gromadzi się wokół posiłku, tym razem prawdziwie obfitego, w którym króluje mięso. W piekarniku znajdzie się także *gâteau des rois* („ciasto króli”: okrągłe i przypominające koronę, choć różni się od tego paryskiego), a szczęściarz może w nim znaleźć ziarno bobu i samemu zostać „królem”.

A 6 stycznia do szopki przybędą jeszcze Trzej Królowie wraz ze swoimi darami. Razem z innymi *santons* zostaną tam aż do 2 lutego.

Te miniaturowe gliniane figurki są ważnym kluczem do zrozumienia prowansalskich świąt. Ukazują one zwykłych mieszkańców tej krainy, takich jak my, którzy wraz ze swoimi małymi i wielkimi życiowymi historiami co roku zmierzają ku Betlejem. ○

SCENY Z ŻYCIA

Prowansalska szopka przedstawia prawdziwe sceny z życia na prowincji: pasterza prowadzącego owce, rolników zbierających lawendę, okolicznego włóczęgę, młynarza... Wszyscy wypełniają swoje codzienne obowiązki, zgromadzeni wokół znajdującej się w centrum Świętej Rodziny.



Mikolaj Wyrzykowski

Autor książek, m.in. „Camino de Santiago: o chłopcu, który przeszedł 365 dni”. Prowadzi bloga podróżniczego „Zastanów się nad tym” oraz studiuje literaturę na uniwersytecie w Aix-en-Provence.



MĄDROŚĆ 'ULICY



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

To był mój pierwszy pobyt w Afryce Północnej. Nie mogłam się doczekać! Ale jechałam rozdarta, targana dziwną mieszanką ekscytacji i zniechęcenia.

Poirytowanie ogarnia cię już w samolocie. Zaraz się zaczniesz – myślisz i gotujesz się w sobie. Są kraje, gdzie już dojazd do hotelu przypomina drogę przez mękę. Ledwie przekroczysz próg lotniska, trzeba będzie

opędzać się od nachalnych taksówkarzy i bagażowych, czyhających w hotelowym lobby, by porwać twój bagaż i oddać go w zamian za okup. Potem jest tylko gorzej. Spacer przez miasto to jeden wielki tor przeszkód, formowany przez napastliwych sprzedawców pamiątek, barowych naganiaczy, poganiaczy wielbłądów próbujących wepchnąć cię na grzbiet zdezorientowanego zwierzęcia, wreszcie wszelkiej maści przebierańców, którzy najpierw namawiają cię na wspólne zdjęcie, a zaraz potem domagają się haraczu, w razie oporu szczując kobrą.

Mniej więcej z takim nastawieniem ruszyłam na spacer po Marrakeszu. Czułam się wewnątrz rozdarta. Z jednej strony melodyjna nazwa Czerwonego Miasta od zawsze działała na moją wyobraźnię. Przed oczami stawały mi romantyczne wizje z filmów i kart powieści, w nozdrzach czułam korzenny zapach barwnych przypraw i aromaty dań z ulicznych barów. Chciałam zatopić się w uliczki medyny, uwiecznianie na tyłu płótnach i kartach książek. Pragnęłam przemierzać labirynt

marrakeskiego suku i nabywać wspaniałe towary, najlepiej odziana w bogato zdobiony żakiet od Yves'a Saint Laurenta.

Ale moje rozmarzenie psuła głęboka rysa. Obawiałam się doniesień turystów z Egiptu i Tunezji, udreńczonych absorbującą postawą lokalnych. Nabrałam jeszcze większych podejrzeń po prośbie przewodniczki, żeby na wyjazd do Maroka przygotować zapas drobnych na bakszysz, czyli napiwki, które najwyraźniej należały się wszystkim: kierowcom, kelnerom, bagażowym, pokojowym, dzieciom pozującym do zdjęć, a nawet przechodniom zapytanym o drogę. – *A niby dlaczego?* – zjeżyłam się starym europejskim zwyczajem. Przecież wielu tych usług ani sobie nie życzę, ani nie potrzebuję! Właśnie tak mi się wydawało, zanim zrozumiałam, jak bardzo się myliłam.

Marrakesz jest pełny ludzi, którzy na pierwszy rzut oka wydają się zbędni. Przemierzają ulice, usiłując wmieszać się w tłum będący ich jedynym żywicielem. Od rana drepczą i niestrudzenie oferują swoje towary i prace, które reszta świata

dawno uznana za nieprzydatne. Ci upierają się jednak, że jest inaczej. Spędzają dni na tym, żeby dowieść swej pożyteczności, a poszukiwanie chętnego zajmuje im więcej czasu niż faktyczna praca. Bo na co dziś komu pięknie ubrany sprzedawca wody, oferujący schłodzony płyn ze wspólnego kubeczka? Kto chciałby coś nabyć u przekupek handlujących używaną biżuterią, która straciła dawny blask? Kto przy zdrowych zmysłach zjadłby mięso od obwoźnego rzeźnika, turlającego swój wózek w chmurze spalin i much?

A jednak coś musi tłumaczyć ich obecność. Ktoś widać korzysta z usług małych henną i rozpylaczy korzennej woni, uzbrojonych w błyszczące kadzidełka. Na rogach większych ulic stoją pucybuci. Mijają ich szewcy, pchający przed sobą kramy ze stertą butów nie do pary, choć w czasach sandałów i butów z dermy ich fach wydaje się przeżytkiem. Na placu Jemaa El Fna, kryjąc się przed słońcem, siedzą zaklinacze węży, wróżbici, śpiewacy i opowiadacze historii. Dla nas to tylko dekoracyjni statyści, którzy fajnie wypadają na zdjęciach, ale ich rola jest inna. To kustosze pamięci o przodkach i tradycjach, wychowawcy, przewodnicy i mentorzy.

Świat może się dziś obejść bez publicznych skrybów, oferujących niepiśmiennym sporządzenie urzędowego pisma albo napisanie listu. Na pewno? A może w dobie maili i autokorekty przyda się jednak ktoś, kto umie uporządkować chaos myśli i zgrabnie przelać je na papier? Albo ułożyć wiersz miłosny, którego nie wygeneruje za nas automatyczny słownik wiadomości tekstowych? Ostrzyciel noży poraduje w potrzebie, kiedy szykujemy obiad dla całej rodziny. Nie musimy w panice biegać po sklepach, on przyjdzie pod nasze drzwi. Wyrwacz zębów pomoże uporać się z bolesnym problemem bez konieczności zapisywania się do dentysty i czekania na swoją kolej. A że publicznie – no trudno, ludzka rzecz, nie ma się czego wstydić.

Świat kręciłby się nadal, ale byłby dużo smutniejszy bez dostawcy drobnych przyjemności. Obwoźni handlarze kawą wyrastają spod ziemi, zanim zdążymy pomyśleć o tym, czego nam trzeba. Sprzedawcy pojedynczych papierosów śpieszą z pomocą w palącej potrzebie, kiedy nie mamy funduszy na całą paczkę. Mleczarz pomoże ugasić pragnienie orzeźwiająca



Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



Wygodny dostęp do prasy na telefonie i tablecie



R E K L A M A

serwatka. A mobilny ogrodnik udekoruje przydomowe podwórko lub uliczny klomb. I od razu wszystkim jest milej!

Zebracy, naciągacze, uliczni handlarze, nawołujące dzieci – jak często myślimy, że bez nich wędrowanie po mieście, które kupiliśmy sobie w ramach wycieczki, byłoby o wiele przyjemniejsze. W naszej ocenie są jak natrętna mucha, której lokalne władze mogłyby się wreszcie pozbyć. Trudno o większą pychę. Przecież my jesteśmy tu tylko na chwilę, a oni byli od zawsze. My jesteśmy przechodniami, oni – częścią miejskiego organizmu, jak czerwone krwinki niezauważenie niosące życiodajny tlen. Każdego dnia przemycają niepostrzeżenie, wydeptując tysiące

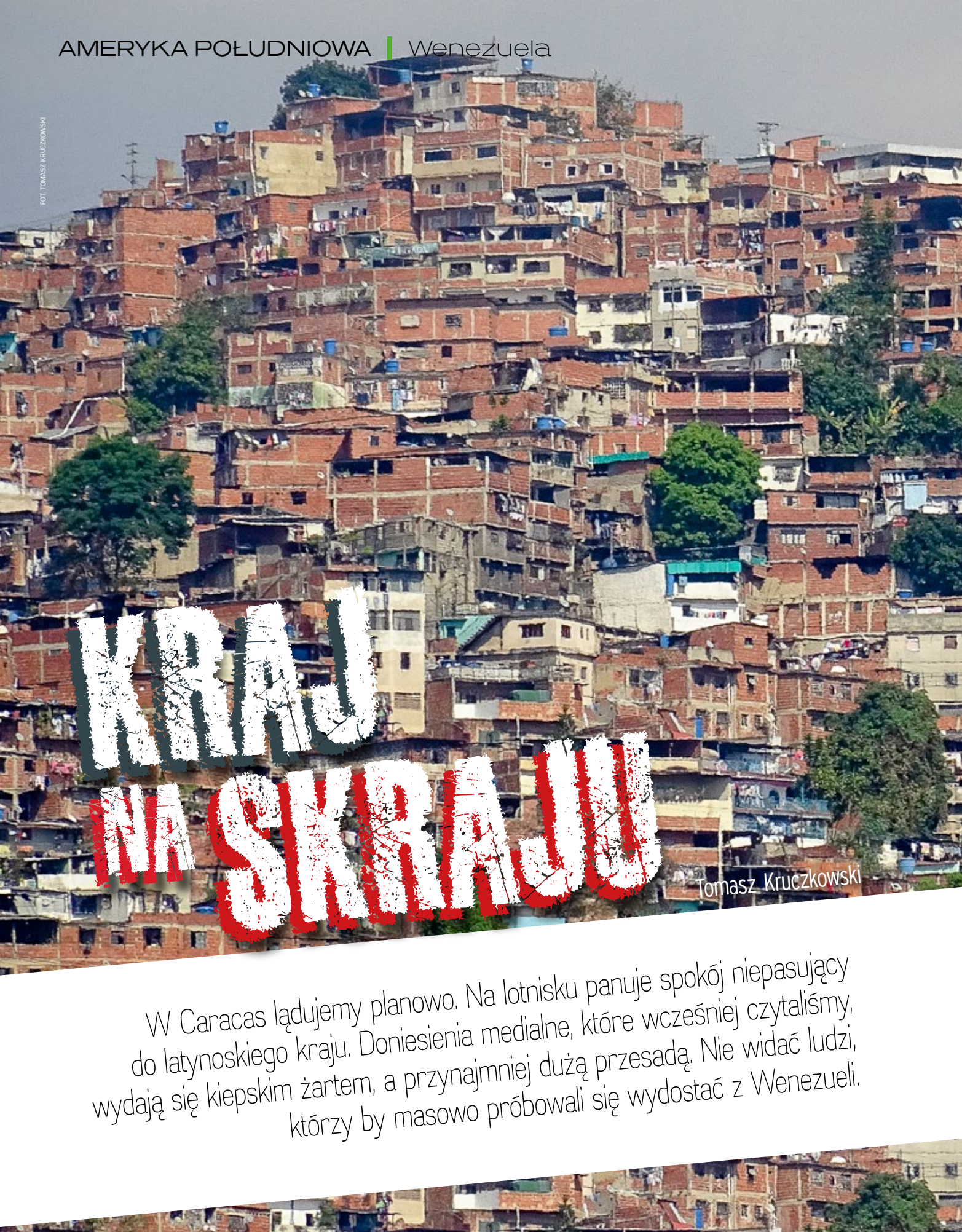
niewidzialnych ścieżek, które układają się w logiczną całość. Nie chcemy ich? Nie szkodzi. Przetrwają bez naszych paru dirhamów. Poradzą sobie bez nas. Miasto bez nich – nie. ○

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



WRAZ NA SZKRAWU

Tomasz Kruczkowski

W Caracas lądujemy planowo. Na lotnisku panuje spokój niepasujący do latynoskiego kraju. Doniesienia medialne, które wcześniej czytaliśmy, wydają się kiepskim żartem, a przynajmniej dużą przesadą. Nie widać ludzi, którzy by masowo próbowali się wydostać z Wenezueli.



Nie widzimy też żebraków głodujących na ulicach. Trudno dostrzec ogólnokrajowe niezadowolenie i kompletny brak zainteresowania nadchodzącymi wyborami prezydenckimi. Ruch uliczny jak gdzie indziej, pełni werwy handlarze nakłaniają do zakupów, ludzie

śpieszą się, jedni jadą rozklekotanym autobusem, inni biegną do metra. Sklepy również nie przypominają tych z PRL-u z pustymi półkami. Pewnie myli nas jeszcze ten latynoski klimat, te uśmiechy w promieniach codziennego słońca. To naprawdę nadaje naturalnego optymizmu, zwłaszcza jeśli przyjeżdża się z Polski.

WIDZIANE Z DALA

Petare, największe slumsy Wenezueli, stanowią część aglomeracji Caracas. Nawet lokalni nie zapuszczają się w te okolice, nie mówiąc już o cudzoziemcach.





wymieniać na lotnisku ani w banku. Załatwia nam równowartość 20 USD po rynkowym kursie, czyli 200 tys. boliwarów za dolara. No dobrze, ale dlaczego tak mało? Przecież 20 dolarów na dwie osoby to dwa posiłki w restauracji.

– Nie ma banknotów – mówi. – Resztę dostaniecie w formie karty płatniczej, która będzie naładowana za 200 USD po tym samym kursie.

– Jak to: nie ma banknotów?

– No nie ma, rządowi się nie opłaca drukować, ponieważ ich wartość jest niższa niż



KASKADY CANAIMY

Wodospady w Parku Narodowym Canaima. Stanowią ciąg ośmiu kaskad położonych obok siebie i tworzących rzekę, którą przez kolejne 90 km trzeba wiosłować, by dostać się w okolice Salto Angel – najwyższego wodospadu na świecie.

JAK ZOSTAŁEM WENEZUELCZYKIEM

To jednak tylko pozory. Przede wszystkim uderza niezwykła sytuacja związana z wartością waluty i wymianą dolara na boliwary. Oficjalny kurs na lotnisku wynosi 48 tys. boliwarów za dolara. Nasz kierowca mówi, żeby pod żadnym pozorem nie

koszt produkcji, a ponadto rząd nie nadąża z ich drukowaniem.

Tak powstał rynek handlu banknotami. Jeśli ktoś potrzebuje np. 100 tys. boliwarów w gotówce, to musi za nie zapłacić 200 tys. kartą płatniczą.

– Aby móc używać karty, musicie zawsze podać numer ID i pokazać dowód, oczywiście wenezuelski, dlatego zostawię wam na czas wyprawę

mój i zawsze, jak będziecie płacić kartą, musicie pokazać ten dowód. Dopiero po rejestracji numeru ID płatność będzie możliwa.

Tym sposobem bezużyteczne stały się nasze karty płatnicze i kredytowe, ponieważ w tym kraju akceptuje się tylko karty wystawione przez banki Wenezueli, a takowe są wystawiane tylko jej obywatelom.

I faktycznie, za hamburgera w budce pod Caracas płaci się 200 tys. VEF (boliwarów), ale wszyscy dokonują transakcji kartą. To samo

się do tego przyzwyczailiśmy i od tej pory przy każdej transakcji legitymowałem się wenezuelskim dowodem.

TYSIĄCE ZA HAMBURGERA

Wszystko było w porządku, dopóki nie dotarliśmy do Santa Elena, miasteczka położonego przy granicy brazylijskiej. To stąd mieliśmy rozpocząć nasz trekking na Roraimę.

Tu napotkaliśmy kolejną dawkę nowości. Przede wszystkim nikt nie chciał przyjmować płatności naszą nowo otrzymaną kartą, tak więc gotówka skończyła się w kilka godzin. Po podjęciu próby wymiany waluty okazało się, że kurs wynosi już tylko 120 tys. VEF za 1 USD. Natomiast przy każdej próbie wymiany USD na VEF wszyscy patrzyli na nas ze zdziwieniem, pytając, dlaczego nie chcemy wymienić na brazylijskie reale. Na co my pytaliśmy z naiwnością dziecka, czy to aby bezpieczne, czy realami na pewno będziemy mogli tu płacić. Okazało się, że tu już dawno zrezygnowano z posługiwania się boliwarami ze względu na codzienną utratę wartości tej



FOT. TOMASZ KRUCZOWSKI



FOT. TOMASZ KRUCZOWSKI

DRZEWOŁAZ ŻÓŁTOPASY

Ta żaba jest jadowita, ale miejscowi bawią się z nią jak z domowym zwierzątkiem.

przy innych stoiskach. Stragany za każdym razem dysponują terminalami podłączonymi jakimiś naprędce związanymi przewodami elektrycznymi. Internet jest wszędzie, ale jego prędkość sprowadza się jedynie do możliwości dokonania tych transakcji. Nie ma mowy o jakimkolwiek surfowaniu.

Pierwszy dzień był pod tym względem dla nas absolutnym zaskoczeniem. No ale jakoś

waluty. Ostatecznie kupiliśmy trochę reali i trochę boliwarów. Znow mieliśmy gotówkę, byliśmy uratowani... Niestety, jak się później okazało, reale były w innych zakątkach kraju tak użyteczne jak polska złotówka. Przy każdej próbie płatności tą walutą w Puerto Ordaz, Maturinie czy gdziekolwiek indziej sprzedawcy częstowali nas rozbrajającym uśmiechem, jakbyśmy opowiedzieli świetny dowcip. I tak



ZAGINIONY ŚWIAT

Zaledwie 20 proc. powierzchni tepui zostało poznane. Indianie twierdzą, że w niezbadanej części mieszkają plemiona nieznaną cywilizacji. Roraima (na zdjęciu) została rozstawiona po raz pierwszy przez Arthura Conana Doyle'a w powieści „Zaginiony świat”.

jako pamiątki z Wenezueli przywoziłem dobrych parę brazylijskich reali.

Aby dodać trochę tła tej walutowej opowieści, powiem tylko, że po dwóch tygodniach 1 USD był wart już 300 tys. VEF, a przy kolejnej transakcji proponowano nam kurs 700 tys. boliwarów. A jeszcze 3 lata temu podobno 1 dolar był wart 2 boliwary. Ten sam hamburger w tej samej budce dwa tygodnie później kosztował już 300 tys. VEF. Podwyżka o 50 procent.

PRACA BEZ PŁACY

Gdyby cała ta problematyka kończyła się na zawiłościach walutowych, to pół biedy. Byłoby jak kiedyś u nas. Problem polega na tym, że przez tę niespotykaną w historii

gospodarczej hiperinflację (mówi się, że w tym roku może osiągnąć kilkanaście tysięcy procent), najbardziej, i to w zastraszającym tempie, ubożeją ludzie wykonujący zawody w sferze budżetowej. A jako że Wenezuela jest krajem, gdzie sfera budżetowa, czy generalnie mówiąc sektor państwowy, obejmuje również wszystkie większe zakłady przemysłowe i przedsiębiorstwa z sektora usług, oznacza to, że wzrost płac nie nadąża za rzeczywistym wzrostem cen u większości pracodawców. W praktyce wygląda to następująco: płaca w fabryce, np. hucie aluminium w Puerto Ordaz, jest stała. Pracownik otrzymuje podwyżkę inflacyjną raz do roku. Oznacza to, że jeśli na początku roku otrzymał podwyżkę, to przez cały ten rok będzie zarabiał powiedzmy, 2 mln VEF miesięcznie. Ta kwota jeszcze na początku



FOT. TOMASZ KRUCZOWSKI

roku mogła oznaczać kilkadziesiąt dolarów. Teraz to samo oznacza już kilka dolarów. Pod koniec roku będzie już prawie nic niewarte.

Efekt jest taki, że ludzie nie mogą liczyć na realne pensje, więc masowo porzucają pracę i albo emigrują, albo podejmują się zajęcia, które w krótkim czasie przyniesie im jakiegokolwiek pieniądze. Można spotkać nauczycieli sprzedających na dworcach kawę z termosów, urzędników handlujących przy drogach melonami bądź papajami, a przy granicy kierowców stojących w kolejce po paliwo. To jest w regionach przygranicznych reglamentowane i można jednorazowo zakupić nie więcej niż 10 l na osobę w cenie krajowej, czyli 1 l za 60 VEF, a później sprzedać w Brazylii za równowartość 1,5 USD/l.

Tylko w tym roku z Wenezueli uciekło pół miliona ludzi, najczęściej do Kolumbii, Brazylii lub Panamy – władze tej ostatniej zamknęły niedawno granicę dla Wenezuelczyków ze względu na zbyt dużą liczbę imigrantów.

W rezultacie tych zawirowań, które są pochodną hiperinflacji, w całym kraju zostało zamkniętych 6 tys. dużych i średnich przedsiębiorstw. Nie pracują bądź pracują na pół gwizdka szkoły, to samo dzieje się z administracją. Lekcje odbywają się tylko w jeden lub dwa dni w tygodniu, ponieważ nauczyciele nie przychodzą do pracy. Normą jest brak policji w nocy, problemy z załatwieniem czegokolwiek w urzędach. Przejeżdżaliśmy koło

DUMA TRAGARZA

Chłopcy dorabiają jako tragarze. Dźwigają przez kilka dni ładunki o wadze do 50 kg aż na szczyt Roraimy. Mimo ponadludzkiego wysiłku traktują to jako przywilej, ponieważ usługi tragarza mogą wykonywać jedynie Indianie z wioski Paratepui.



FOT. TOMASZ KRUCZOWSKI



FOT. TOMASZ KRUCZOWSKI

KOŁOS Z MROCNYM WNĘTRZEM

Widok na Kukenan Tepui – niezbadaną górę, bez dostępu drogą lądową.

Aby dostać się na powierzchnię tego płaskiego wzniesienia, trzeba skorzystać z helikoptera albo odbyć ekstremalnie trudną wspinaczkę jaskinią ciągnącą się przez wnętrze kolosa, która kluczy i rozwidla się na nieprzeniknione rozgałęzienia.

wspomnianej huty – widok porażający, niszczący, opuszczony zakład. Nie ma nikogo, nikt nie pilnuje obiektu. Przystępność wzrosła na tyle, że wyjście po zmroku wiąże się z ryzykiem rabunku, zwykle przy użyciu broni palnej.

Co ciekawe, w Wenezueli paliwo jest praktycznie za darmo. Cena na stacjach wynosi 60 boliwarów za litr, co oznacza, że cały bak można zapełnić za ok. 0,02 USD. Wzięto się to stąd, że za rządów Hugo Chaveza uznano ropę naftową (Wenezuela ma jej największe zasoby na świecie) za dobro wszystkich obywateli, z którego każdy ma prawo czerpać w zależności od swoich potrzeb. Tak więc kiedyś ustanowione ceny, już wtedy jedne z najniższych na świecie, teraz spadły do poziomu prawie równego zeru. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że aktualnie rafinerie z powodów opisanych powyżej działają tylko w ograniczonym zakresie. Część instalacji jest po prostu wyłączona. Oznacza to, że nie są w stanie produkować paliwa w postaci diesla lub benzyny, a jedynie półprodukty, które nie nadają się do sprzedaży detalicznej. Są więc odsprzedawane międzynarodowym koncernom paliwowym. Natomiast paliwo sprzedawane za beczken na stacjach paliw rząd kupuje za granicą!

EMISARIUSZE NADZIEI

Oczywiście dane te są nieoficjalne, nie znajdziecie tego w prasie ani innych mediach. Moim rozmówcą jest chłopak, którego spotykam w Puerto Ordaz. Jest pracownikiem amerykańskiej firmy i jednym ze szczęściarzy, którym pensja jest wypłacana w dolarach. Jego drugą, a przedtem pierwszą pracą jest wykładanie na Central University of Caracas. O swoich doświadczeniach opowiada też nasz przewodnik w Canaimie. Sporo dowiadujemy się od pary studentów, którzy chętnie oprowadzają nas po Caracas. Ciekawostek dostarczają pracownicy państwowej firmy wydobywczej oraz pilot ich służbowego odrzutowca, którym przylatują z Caracas do Canaimy. Zawilości lokalnej mikroekonomii przy granicy z Brazylią wyjaśnia nam pewien Francuz, prowadzący od 30 lat swój zajazd w Santa Elena. Moich rozmówców jest dużo więcej, każdy chce się podzielić swoimi odczuciami, przeżyciami, chce czasami wykrzyknąć to, czego oficjalnie powiedzieć nie może. Traktują nas trochę jak ostatnich emisariuszy nadziei, ponieważ „normalni” turyści dawno już przestali przybywać do tego kraju. Na jednym z drogowych posterunków żołnierz po dokładnym



FOT. TOMASZ KRUCZKOWSKI

przeszukaniu naszych bagaży pyta, po co jedziemy. Nie dowierza, że jesteśmy turystami, nie spotkał takich już od dawna. Nielicznymi, którzy jeszcze się pojawiają, są goście z Brazylii lub ci, którzy przyjechali przez ten kraj.

Wspomniana studentka mówi, że przez ostatnie kilkanaście miesięcy schudła kilkanaście kilogramów. Je raz dziennie, zwykle wieczorem. Zaproszona przez nas na kolację, z zamówionego dania zjada tylko małą część, mówiąc, że jest tak zaszuszone, że nie może zjeść więcej naraz. Prosimy kelnera, by zapakował resztę.

Jedzenie w sklepach jest, ale tak drogie, że ludzie go nie kupują. Rząd, aby ratować sytuację, dostarcza raz na dwa tygodnie paczki z żywnością. Byliśmy świadkami rozładowania i rozdawania tych paczek. Oczywiście trzeba mieć talon, co i tak nie gwarantuje, że kontyngentu wystarczy.

Od poznanych studentów dowiadujemy się, że w zeszłym roku w Caracas odbyły się masowe demonstracje, które zostały krwawo stłumione przez siły zbrojne Nicolasa Maduro, rządzącego od śmierci Hugo Chaveza. Oficjalnie zginęło wtedy 168 studentów, natomiast kilkuset kolejnych zostało uznanych

za zaginionych, co w praktyce oznacza to samo. Sytuacja jest na tyle napięta, że rząd według własnego uznania wydaje nakaz aresztowania konkretnej liczby studentów. Nieważne, czy jest ku temu powód, czy nie. Aresztują wtedy, kogo popadnie, tak „profilaktycznie”.

Na pytanie, co w związku z tą sytuacją ma zamiar zrobić prezydent, nikt nie potrafi udzielić odpowiedzi. Nikt nie wie, co planuje rząd, ponieważ w mediach nie istnieje temat fatalnej kondycji gospodarki. Z mediów nikt się nie dowie, że codziennym zmartwieniem Wenezuelczyków jest, skąd zdobyć pieniądze na żywność i jak je jak najszybciej wydać. W telewizji można zobaczyć propagandę sukcesu „programu rozwoju kraju” kontynuowanego jako spadek po Chavezie. Na ulicach wszechobecne plakaty z wizerunkami Nicolasa Maduro z Chavezem we wzajemnych uściskach, świętujących kolejne sukcesy ich wspólnego dzieła.

Pisząc ten tekst, nie słyszałem jeszcze, żeby w Wenezueli doszło do przełomu, rozstrzygnięcia czy rewolucji. Nie wyobrażam sobie jednak, by jakkolwiek kraj mógł w ten sposób funkcjonować na dłuższą metę. Obym nie okazał się złym prorokiem. ○

TEŻY NA MAVERICKA

Obóz pod Roraimą. W tle jedyna droga na szczyt Maverick, najwyższej położony punkt w masywie rozległej na 30 km² góry.



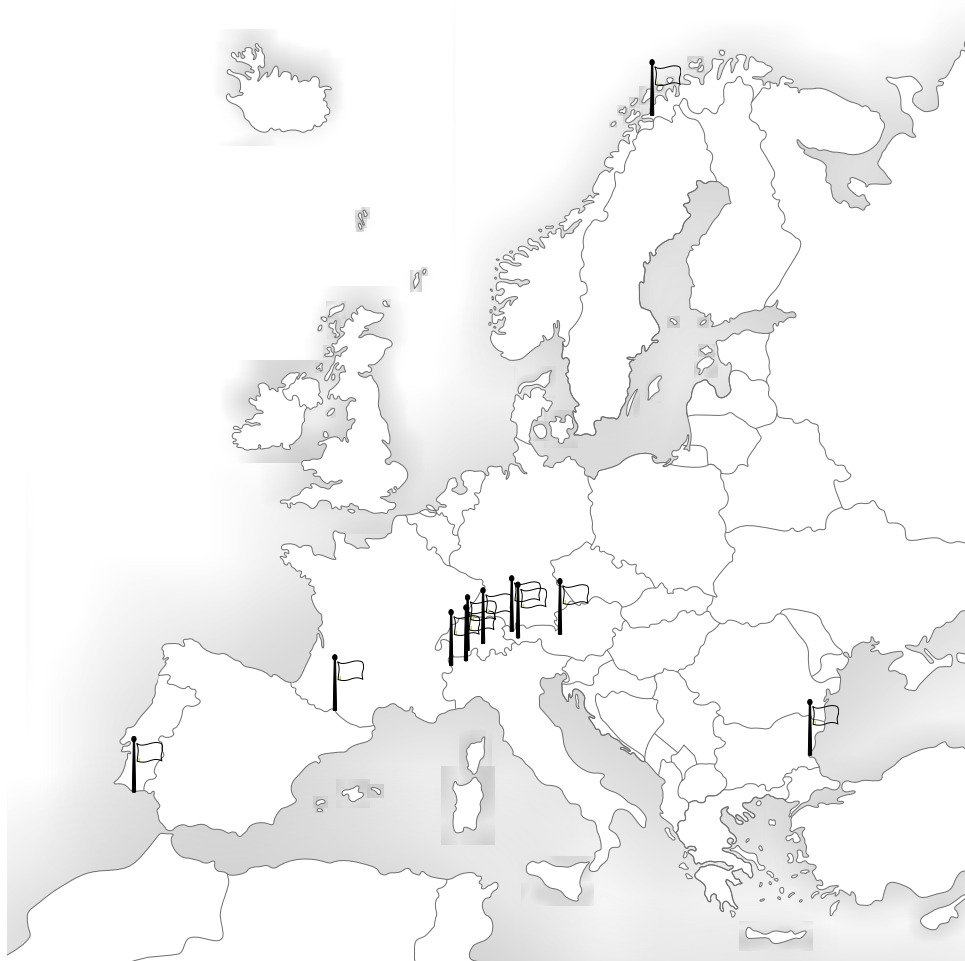
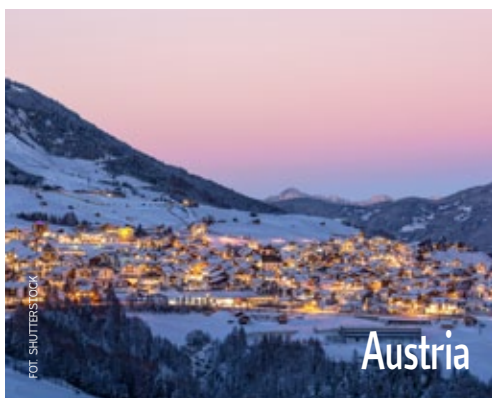
Tomasz Kruczkowski

Na co dzień manager, przeznaczający każdą wolną chwilę na poznawanie świata. Jego ścieżki prowadzą w miejsca mało znane, trudne do dotarcia i dające poczucie eksploracji. Swoje impresje oraz materiały z podróży publikuje na stronie www.tomkino.wix.com/travelmax.



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Kamienny monument

Wokolicy bułgarskiego Primorska mieści się megalityczne sanktuarium z ok. XIV w. p.n.e., Beglik Tash, zwane potocznie bułgarskim Stonehenge. Podczas wycieczki lub urlopu w kurorcie warto odwiedzić ten potężny monument schowany na leśnej polanie. Został on odkryty niedawno, bo dopiero w 2003 r. Najprawdopodobniej służył jako miejsce kultu oraz odprawiania rytuałów, ale także jako kalendarz astronomiczny i zegar słoneczny. Jest to rozległy i intrygujący kompleks skalny ułożony z 16 grup głazów, w którego skład wchodzi zagadkowe i wzbudzające wiele pytań kamienie o wadze nawet 150 ton. Z pewnością warto to zobaczyć na własne oczy – w towarzystwie wcześniej zamówionego przewodnika lub na własną rękę.



42°18'N 27°46'E

Beglik Tash znajduje się 6,5 km na północ od Primorska.



Miasto Maurów

Faro leży w południowej Portugalii, a przez turystów najczęściej traktowane jest jako miejsce wypadowe ze względu na leżące w pobliżu lotnisko. Miasto jest jednak bardzo urokliwe i warto zostać w nim na dłużej, by lepiej je poznać. Otoczone murami stare miasto skrywa budownictwo sięgające IX w., a w całym Faro aż roi się od pomników i zabytkowej architektury. Najważniejsze atrakcje można bez wysiłku zwiedzić na piechotę, a malownicze, wąskie uliczki tylko do tego zachęcają. Jednym z ciekawszych zabytków sakralnych jest kościół Igreja do Carmo z niezwykle kaplicą

Kości, powstała w 1816 r. ze szczątków mnichów karmelitańskich.

Obok Faro znajduje się Park Naturalny Ria Formosa, który stanowią piękne dzikie plaże, torfowiska i rozlewiska zamieszkałe przez wiele gatunków ptaków. Wycieczki łodzią są organizowane codziennie, a przy okazji obserwacji natury można także podziwiać fortyfikacje miasta wzniesione przez Maurów, mających duży wpływ na ogólną architekturę Faro.



37°01'N 07°55'W

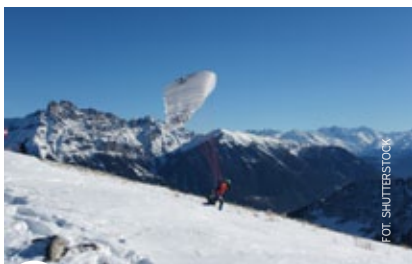
Centrum miasta jest bardzo blisko od lotniska. Mówiąc dokładniej – 11 minut samochodem.



Europejskie ośrodki narciarskie, szczególnie te alpejskie, mają bogatą historię – wypoczywali w nich poeci, w ich okolicy kręcono kultowe filmy (choćby jedną z części przygód Jamesa Bonda w rejonie szwajcarskiego Mürren). Czy da się jeszcze znaleźć w Europie nieodkryte narciarskie skarby? Wirtualna Polska za CNN wskazuje listę kurortów, które mogą stać się hitami.

Szwajcaria Val d'Anniviers

Położona na południu Szwajcarii Val d'Anniviers za sąsiadów ma znanych międzynarodowych gigantów – Zermatt i Verbier. W rejonie znajduje się pięć niewielkich ośrodków, które zasługują na uznanie, m.in. dzięki kolejce linowej łączącej dwa największe – Grimentz i Zinal. W sumie jest tu 100 km tras. Najpiękniejsza wioska w okolicy to Grimentz, leżąca na wysokości 1570 m n.p.m. w dolinie Val d'Anniviers. Jest pełna starych spichlerzy, a latem geranii. Najstarsze budynki pochodzą z połowy XVI w. Lodowiec Zinal jest podziurawiony jak szwajcarski ser grotami i jaskiniami. Można zanurzyć się w lodowe głębiny i je zwiedzić. To alternatywa dla tych, którym znudzą się narty.

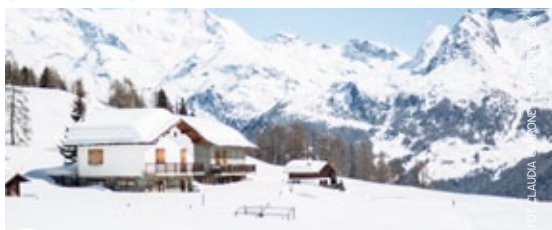


 46°13'N 07°35'E

Przejazd na teren narciarski wokół St-Luc umożliwia wyciąg krzeselkowy.

Włochy Champoluc

Champoluc ma włoski szyk, leży niedaleko Alagna Valsesia – rajy freeriderów, jest stąd widok na Matterhorn i, co również ważne, jest tu stosunkowo tanio. Przytulne, ale często pomijane Champoluc to najdalej na zachód wysunięty resort w rejonie narciarskim Monterosa. Jest tu 180 km przygotowanych tras – zaledwie godzinę drogi od Turynu.



 45°50'N 07°43'E

Podróż samochodem z Alagna Valsesia do Champoluc zajmują ok. 3 godziny.

Szwecja Riksgränsen

Riksgränsen leży 200 km od koła podbiegunowego na granicy wiecznych śniegów (i przy granicy z Norwegią). Tutaj sezon kończy się dopiero w czerwcu, więc na narty można spokojnie wybrać się późną wiosną. W niektóre dni w maju, kiedy trwa dzień polarny, stacje są czynne do północy. Jest tu sześć wyciągów i 29 tras narciarskich. Kto ma trochę szczęścia, być może będzie mógł poszusować przy blasku zorzy polarnej.



 68°26'N 18°07'E

Riksgränsen znajduje w północnej części Szwecji, przy przejściu granicznym z Norwegią.

Austria Hochkönig

Hochkönig jest najwyższym szczytem w Alpach Berchtesgaden-skich, części Alp Bawarskich, to również nazwa nieodkrytego resortu położonego 80 km na południe od Salzburga. Z każdej z trzech miejscowości Maria Alm, Dienten i Mühlbach jest tylko kilka kroków do 33 wyciągów i 120 km tras narciarskich.

Atrakcją jest Königstour, 32-kilometrowy szlak pozwalający objechać cały region od Mühlbach am Hochkönig aż do Maria Alm i z powrotem.



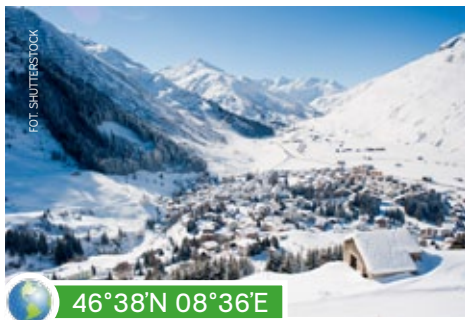
 47°25'N 13°04'E

Hochkönig leży między trzema alpejskimi miejscowościami: Dienten, Maria Alm i Mühlbach.

Szwajcaria Andermatt

To oldskulowy ośrodek, który przeszedł lifting. To również kolejny raj dla miłośników jazdy poza wyznaczoną trasą. Senne Andermatt, które było na topie w latach 80., przebudowuje infrastrukturę i przeżywa renesans.

Region wypoczynkowy Andermatt należy do terenów sportów zimowych z najwyższą gwarancją śniegu w Szwajcarii. Odważni mogą spróbować zjazdu 4,3-kilometrową trasą nazwaną nazwiskiem jednego z najsławniejszych ludzi pochodzących z tego regio-



46°38'N 08°36'E

Andermatt leży pośrodku szwajcarskich przełęczy alpejskich, na skrzyżowaniu szlaków z północy na południe.

nu – narciarza i mistrza olimpijskiego Bernarda Russiego. Szlak prowadzi z Gemsstock do Gurschenalp, a różnica poziomów między jego końcami wynosi prawie 1000 m.

Austria Serfaus

Serfaus, Fiss i Ladis to trzy retoromańskie wioski, powyżej których na nasłonecznionych stokach rozpościerają się tereny narciarskie z trasami o łącznej długości 214 km.

Serfaus to ogromny teren narciarski rozciągający się na wysokości od 1200 m do 2820 m n.p.m. Rejon jest niemal wolny od ruchu samochodowego dzięki Dorbahn w Serfaus – podziemnej kolei pneumatycznej, która biegnie z jednego końca miasta do głównej stacji kolejki linowej na drugim. Na niezwykłą inwestycję zdecydowano się w latach 80. O kolejkę mówi się, że to najmniejsze metro na świecie.



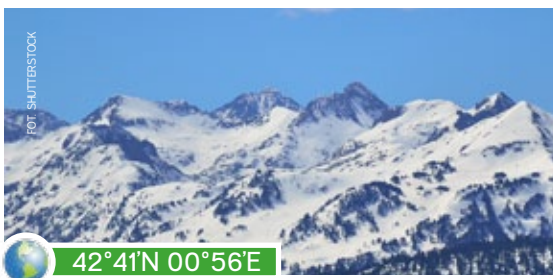
47°02'N 10°36'E

Stacje kolejek linowych znajdują się w samej miejscowości, przez co są łatwo dostępne na piechotę.

Hiszpania Baqueira-Beret

Hiszpańskie śnieżne eldorado z zaskakująco niskimi cenami. Baqueira-Beret jest znane hiszpańskim narciarzom (także tym z rodziny królewskiej), ale w innych częściach Europy niewiele o nim słyszało. To przyzwoitej wielkości ośrodek ze 150 km przygotowanych tras i 35 wyciągami.

Argumentem za przyjazdem do Baqueira-Beret może być łagodny klimat.



42°41'N 00°56'E

Baqueira-Beret leży 200 km od Barcelony i tylko 160 km od francuskiej Tuluzy.

Do miasteczka docierają masy ciepłego powietrza znad Atlantyki, co sprawia, że jest tu nieco mniej mroźnie niż w Alpach. Jest też nieco więcej światła dziennego – dni są dłuższe o około pół godziny.

Austria Warth-Schröcken

Przełęcz Arlberg, rozległa i pełna śniegu, jest miejscem, w którym są położne takie międzynarodowe narciarskie sławy, jak St. Anton, Lech czy Züers. Ale nieopodal czeka dużo mniej znane Warth, które ma wreszcie szansę zabłysnąć. Ta tradycyjna wioska założona w XI w. przez Szwajcarów z kantonu Valais oferuje dobrą jakość usług za przyzwoite pieniądze.

Kto zatęskni za kurortem tętniącym życiem, może skorzystać z kolejki gondolowej, która łączy kameralne Warth z luksusowym Lech – tu można znaleźć aż 350 km tras i 97 wyciągów i kolejek linowych.

47°15'N 10°11'E

Warth-Schröcken leży pomiędzy Arlberg, Lechtaler i Allgäuer.



Francja Sainte-Foy-Tarentaise

Francuskie Sainte-Foy-Tarentaise to miejsce dla tych, którzy marzą o spokoju. Tutejszy rejon narciarski wznosi się od wysokości ponad 1500 m n.p.m. do ponad 2600 m n.p.m. i ma tylko cztery wyciągi, ale pełne charakteru trasy zapewniają całą masę rodzinnej zabawy. Znajdzie się tu również coś dla miłośników jazdy po nieubitym puchu.



45°35'N 06°52'E

Sainte-Foy zlokalizowana jest w południowo-wschodniej części Francji i leży w pobliżu topowych ośrodków narciarskich, takich jak Tignes, Val d'Isere i Les Arcs.





MIASTO DUCHNOW

Arkadiusz Kubale

Historia jest pełna paradoksalnych zwrotów akcji. Jednak nie zawsze są to zdarzenia nagłe. Czasem potrzeba dekad, aby przyroda upomniała się o swoje włości, a człowiek stał się na powrót niepewnym gościem w jej zielonych progach. Tak właśnie jest w przypadku Pstrąża – największego polskiego „ghost town”.

GRANIT ŚCIŚLE TAJNY

Pstrąże było sowieckim, ściśle tajnym magazynem broni raketowej, prawdopodobnie też czasowym magazynem głowic jądrowych. Na zdjęciu jeden ze schronów typu Granit dla rakiet Luna i Toczka.

Wystarczy 1,5 godziny jazdy samochodem z Wrocławia, aby znaleźć się w zupełnie innej rzeczywistości. Ostatni żołnierze armii radzieckiej opuścili Pstrąże w 1992 r. Przed nimi stacjonowały tam przez kilka dekad wojska niemieckie. Jeśli wziąć pod uwagę burzliwe dzieje Dolnego Śląska, wiele staje się zrozumiałe.

Pierwsze wzmianki o tej ukrytej w Borach Dolnośląskich osadzie sięgają początków XIV w. Ówczesni mieszkańcy mieli trudnić się głównie hodowlą zwierząt, ale także np. wytapianiem żelaza. Ślady tej ostatniej aktywności (związanej zapewne ze złożami rudy darniowej) można znaleźć w pobliskiej osadzie Buczek, gdzie ściany jednego z budynków

opuszczonego gospodarstwa są gęsto ozdobione bryłami ciemnego żużlu.

Ten nieco sielankowy obraz wsi, położonej nieopodal bystro płynącego Bobru, został zburzony w 1865 r., kiedy to strawił ją pożar. Całe XIX stulecie nie należało zresztą dla tego regionu do spokojnych, o czym może świadczyć chociażby bitwa nad Bobrem (1813 r.) i tragedia napoleońskiego wojska. W oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów Płakowicach pochłonęła ona wiele ofiar, w tym około dwóch tysięcy żołnierzy próbujących uciekać przez wezbraną rzekę.

Docierające do Pstrąża i mącone XIX-wiecznymi wydarzeniami wody Bobru nie miały szansy uspokoić się również i w kolejnym stuleciu. Po 1901 r. ta sielska, leśna osada zmieniła swój charakter na prawie sto lat.



FOT. ARKADIUSZ KUBALE



niemieckiej i umożliwiał niegdyś dotarcie do Pstrąży także samochodem. Dziś istnieje już tylko jego część kolejowa, ponieważ przeszło drogowe zostało wysadzone w trakcie odwrotu wojsk w 1945 r. Jak można przeczytać w różnych źródłach, most drogowy nigdy nie został potem odbudowany. Stało się tak podobno dlatego, aby do miasteczka miała utrudniony dostęp ludność cywilna. Biorąc pod uwagę charakter miejsca (np. obecność radzieckich silosów na broń nuklearną), można dać wiarę takiej wersji wydarzeń.

Część niemiecka jest nieporównanie większa od znajdującej się na południe strefy poradzieckiej. Podczas gdy na zwiedzenie tej ostatniej wystarczyło kilka godzin, to północna strona Pstrąży może zająć nawet do kilku

WCIAŻ STRZELAJĄ

Spacerując zarośniętymi alejkami, można znaleźć nie tylko ślady po II wojnie światowej, ale także całkiem świeże łuski po nabojach. Obecnie na tych terenach jest poligon wojskowy.

PSTRANSSE VEL STRACHÓW

Wędrowkę po dzisiejszym Pstrążu zaczniemy od tzw. części ponemieckiej. Teren ten jest położony na północ od głównej drogi dzielącej miasto na dwie części – ponemiecką oraz południową (czyli poradziecką). Drogę główną łatwo zlokalizujemy nawet z poziomu mapy, ponieważ jest przedłużeniem traktu wiodącego od potężnego betonowego mostu nad Bobrem, położonego około kilometra na wschód od pierwszych zabudowań wojskowej osady. Wzdłuż niej będą tory kolejowe zakończone rampą, które prowadzą do stacji Leszno Górne.

Wart uwagi jest już sam most, który został wybudowany na potrzeby armii



FOT. ARKADIUSZ KUBALE



ZUŻEL OZDOBNY

Jednym z zajęć mieszkańców Pstrąża było... hutnictwo. Na ślady z nim związane można trafić i dzisiaj. W pobliskiej osadzie Buczek ściany ruin dawnego gospodarstwa zdobią regularne, ciemne elementy z żużlu, który jest pozostałością po wytopie żelaza.

FOT. ARKADIUSZ KUBALE



RUINY ŁADNIEJSZE

Budynki pozbawione dachów, z oknami, przez które widać niebo, to obraz także i poniemieckiej części miasta. Zwiedzanie tych ruin – trzeba przyznać, że ładniejszych niż radziecka wielka płyta – grozi również śmiercią lub kalectwem.

FOT. ARKADIUSZ KUBALE

dni – oczywiście zależnie od tempa i złożoności wycieczki. (Pisząc o części poradzieckiej, celowo użyłem czasu przeszłego, ponieważ w 2016 r. rozpoczęto rozbiórkę znajdującego się tam osiedla i aktualnie po blokach mieszkalnych typu Leningrad pozostały tylko hałdy gruzu).

Podążając drogą główną wzdłuż torów, wystarczy odbić w jedną z wielu drózek w prawo, by przenieść się do świata, który dziś jest tylko mglistym wspomnieniem. Zderzają się tu świadomość burzliwej historii z sielską zielenią, słodkim zapachem kwitnących bzów i śpiewem ptaków. W ciepły wiosenny dzień z takiej niby-kontemplacji mogą człowieka wyrwać jedynie dwie rzeczy: odgłosy czynnego poligonu oraz – i to zdarza się częściej – chowające się nagle za chmury słońce. Wówczas Pstrąże pokazuje swoją bardziej ponurą – by nie powiedzieć: mroczną – stronę, stawiając zwiedzającego gościa



40 LAT, I KONIEC

Nieodłącznym elementem sowieckiej propagandy były pomniki. Na zdjęciu największy z ocalałych w wojskowej bazie, z datami 1945–1985, czyli dla uczczenia 40-lecia zwycięstwa nad hitleryzmem. Tyle że w 1985 r. zaczęła się już pierestrojka i ZSRR chylił się ku upadkowi.

FOT. ARKADIUSZ KUBALE

do pionu i wzmożonej czujności. Może stąd wzięła się jego radziecka nazwa Strachów (ros. Страхув).

SPISANE NA STRATY

Pokonując kolejne metry zarośniętych drózek, będziemy mijać podobne do siebie jedno- lub dwupiętrowe koszarowce z cegły klinkierowej. Mimo ich agonalnego stanu warto przyjrzeć się uważnie, gdyż różnią się wieloma detalami: kolorem cegły, szczegółami fasad i układem klatek schodowych. Łączy je bardzo zły stan – w przeważającej części brak dachów, a schody i piętra często są powysadzane. Nie wolno zapominać, że teren ten i dziś jest własnością armii, a więc oprócz czynnika czasu i warunków atmosferycznych zmagają się również z ćwiczeniami współczesnego wojska.

To, co dało się wynieść, rozkraść i zniszczyć, zostało spisane na straty, a to, co pozostało, jest pozbawione wszelkiej opieki. Warto też nadmienić, że ruina wielu budynków, zwłaszcza części koszarowej, nie wynikała jedynie



FOT. ARKADIUSZ KUBALE

z upływu czasu czy szabrownictwa, ale również z bardzo niskiego poziomu ludzi, którzy przybyli tu potem na służbę. Chodzi o żołnierzy Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, którzy przejęli koszarowce po wojnie. Jak mówią okoliczni mieszkańcy pamiętający tamte

PROMIENISTY

Mimo że kolory ma nieco zatarte, nadal próbuje nieść ideologiczny przekaz, wysyłając go za pomocą promieni wychodzących z głowy.



SOWIECKA...

Tyle da się wyczytać z pierwszej strony tej starej gazety. Jest jeszcze data: 10 czerwca 1989 r. Takich pamiątek po stacjonujących tu Rosjanach można było znaleźć wiele. Obecnie, po zburzeniu bloków, zostały zmieszane z betonowym gruzem i wywiezione.

czasu, rozpalanie ognisk w opuszczonych budynkach czy załatwianie potrzeb fizjologicznych w wybranych pokojach lub przez dziury w podłodze (po wcześniejszym zapchaniu toalety) nie należało do rzadkości.

Niemniej, uważnemu obserwatorowi koszarowy oraz inne pobliskie budynki potrafią nadal opowiedzieć przynajmniej część swojej historii, raz po raz zaskakując, choćby takim wyposażeniem, jak kafelki czy fragmenty instalacji sanitarnej. Odrapane ściany są pokryte różnymi napisami, często wyskrobany ostrym przedmiotem. Widnieją na nich imiona, daty i inne ślady „osadników” z ZSRR, pisane rzecz jasna cyrylicą.

ZDERZENIE ŚWIATÓW

Tutaj Zachód spotyka się ze Wschodem. W południowej części – prawie nieistniejące już bloki typu Leningrad dla żołnierzy i ich rodzin, stawiane mozolnie z elementów zwożonych z ZSRR. Równe jak socjalizm, toporne jak związek sierpa z młotem; zawsze pięć pięter, trzy lub pięć klatek schodowych. Można



je zresztą jeszcze zobaczyć w pobliskich miejscowościach: Trzebieniu, Świętoszowie, Jaworze i kilku innych polskich miastach. Z drugiej strony, na północ od koszarowego osiedla, znajdziemy domki z cegły, zdobne resztki fasad, stajnie (poprzerażone po I wojnie światowej na garaże), alejki spacerowe, a wraz z nimi klomby i ławeczki. Co do tych ostatnich, to można jeszcze dostrzec porośnięte mchem i trawą ich fundamenty.

Po kilku wyprawach do Pstrąża zaczęliśmy jednak z żoną zauważać, że nasze antagonistyczne wrażenia z poprzednich wizyt zaczynają się zacierać, a zamiast nich pojawiają się punkty styczne, coś w rodzaju wspólnego mianownika – efekt przenikania dwóch odległych kulturowo i mentalnie światów oraz zamieszkujących je nacji. Po odwiedzeniu Pstrąża kilka razy pozostało w nas wrażenie, że garnizon Pstransse vel Strachów miał być dla obu stron przede wszystkim... tworem samowystarczalnym. Widać to zarówno po infrastrukturze niemieckiej, jak i radzieckiej. Doskonałym

przykładem jest grawitacyjna oczyszczalnia ścieków zbudowana przez Niemców. W procesie oczyszczania wody używano pumeksu, który zalega do dziś w okolicach tej konstrukcji. Oczyszczalnię można odnaleźć na niewielkiej polanie, pośród gęstych lasów okalających to miasto widmo, około kilometra od osady Buczek.

Rosjanie przypuszczalnie nie korzystali z pozostawionej przez Niemców technologii, niemniej po przejęciu garnizonu, sami również poczynili kroki, aby Pstrąże było jednostką niezależną. Było ku temu kilka ważnych powodów. Po pierwsze, miejsce to stanowiło ściśle tajny magazyn broni rakietowej (w tym domniemany czasowy magazyn głowic jądrowych), co czyniło ze Strachowa ważny strategicznie obiekt. Świadczą o tym trzy ogromne schrony typu Granit dla rakiet Łuna i Toczka, położone na północ od głównej części miasteczka. Drugą przyczyną dążeń do samowystarczalności była duża liczba mieszkańców, szacowana na 10–15 tys. (niektóre źródła podają nawet 20 tys.). Rosjanie zapewniali więc odbywającym tu służbę żołnierzom i ich

DUCHY SPORTU

Garnizon miał nie tylko koszary i zabudowania o charakterze ściśle militarnym. Znajdowały się tam również inne obiekty – takie jak ta hala gimnastyczna. Jej pozostałości, mimo że pokryte płatami łuszczącej się farby, nadal opowiadają historie o sportowej rywalizacji.





BUNKRY SĄ...

Bunkrów na terenie Pstrąży i otaczających je Borów Dolnośląskich jest wiele. Ich typy, w zależności od przeznaczenia, były różne: od małych konstrukcji ćwiczebnych po masywne magazyny ze szczelinami obserwacyjnymi i stanowiskami do prowadzenia ognia.

rodzinom wszystko, co niezbędne do życia, a ponadto trochę wygod.

Oprócz ośmiu bloków mieszkalnych w części południowej można było m.in. znaleźć szkołę ośmioletnią, przedszkole, kawiarnię i plac zabaw. Z kolei o wiele większa część północna oferowała takie podstawowe punkty, jak sklepy, pralnie, łaźnie (w koszarowcach na próżno było szukać natrysków), ogromne stołówki oraz budynki szkoleniowe dla kadr oficerskich i podoficerskich. W myśl sentencji „W zdrowym ciele zdrowy duch” w Pstrążu działała hala sportowa, z oknami luksuferowymi i do dziś widocznymi malunkami na ścianach, przedstawiającymi różne dyscypliny. Na terenie garnizonu znajdował się również odkryty

basen olimpijski oraz duże boisko. Obiekty te prawdopodobnie zostały wybudowane przez Niemców, a potem dopiero zaadaptowane na potrzeby Rosjan. Obrazu dopełniają pozostałości po kinie o wdzięcznej nazwie Kursant i działającym przy nim klubie Kadet, a także Garnizonowym Domu Oficerów, który sądząc po formie (scena i rzędy krzeseł), prawdopodobnie pełnił też funkcję centrum kulturalnego dla całego miasta.

Przenikanie się dwóch skrajnych światów – niemieckiej precyzji, zamięłowania do techniki i ładu z rosyjską prostotą, ideologicznym rozmachem i machinalną siłą – jest dobrze widoczne w Pstrążu. Ale, jak wiadomo, historię piszą zwycięzcy. W tym



Arkadiusz Kubale

Fotograf tematów outdoorowych, redaktor magazynu wędkarskiego „Sztuka Łowienia”. Swoje zdjęcia i artykuły publikował w wielu magazynach polskich i zagranicznych.



FOT. ARYADU SZ KUBALE



FOT. ARYADU SZ KUBALE

WILCZE DOŁY

To nie obiekt wojskowy, lecz część ponemieckiej oczyszczalni. Głębokie odstojniki, wypełnione od dekad wodą i otoczone wieloma niezabezpieczonymi dołami, stanowią nie lada zagrożenie dla zwiedzających.

przypadku i w dzisiejszej formie – państwo i społeczeństwo spod znaku „kрасnej gwiazdy”. Betonowe kształty radzieckich pomników „ku czci”, sylwetka Lenina, plac defilad, resztki gazet wyściełanych fikuśną cyrylicą, dudniące niskim dźwiękiem przepastne raketowe silosy... Gdzieś w tle pozostaje wspomnienie o niemieckim garnizonie z budynkami z klinkierowej cegły i alejkach spacerowych przystrojonych kwiatami; w zupełnej zaś mgle dziejów – pamięć o otulonej borami Dolnego Śląska osadzie ludzi wytapiających żelazo. ○

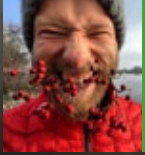
Dziękuję Marioli Nagodzie za pomoc w trakcie przygotowywania artykułu. Jej znajomość Pstrąża oraz kronikarsko-historyczna dociekliwość bardzo mi pomogły usystematyzować wiedzę na temat tego miejsca.



FOT. ARYADU SZ KUBALE

GENIUS LOCI

Taki oto widok zęgnął do niedawna odwiedzających to miejsce. I choć trudno stwierdzić, czy owa upiorna zabawka jest pozostałością po okupantach z Pstrąża, czy raczej powiesił ją któryś z turystów – to nie sposób oprzeć się wrażeniu, że pasuje do panującej tu atmosfery.



MŁODY CZŁOWIEK I MORZE

Kiedy pierwszy raz wyjechałem do Ameryki Południowej, miałem w kieszeni 700 dolarów. Miało mi wystarczyć na cztery miesiące – kilka dolarów na dzień. Żeby obniżyć koszty, podróżowałem stopem, spałem na dziko, jadłem mało i tanio.

FOT. ŁUKASZ DŁUGOWSKI

Miałem jechać tylko do Peru, zobaczyć miasta Inków, którymi fascynowałem się od liceum, ale uznałem, że nie mogę tak ryzykować. To może być pierwsza i ostatnia podróż po Ameryce w życiu, więc muszę zobaczyć tyle, ile się da. Spojrzałem na mapę i wybrałem kraje sąsiadujące z Peru. Nieświadomy tamtejszych gigantycznych dystansów, skończyłem w Brazylii, Argentynie, Boliwii i Chile. W tym ostatnim bardzo chciałem zobaczyć fiordy, których wtedy, jako 21-latek, nie widziałem jeszcze na oczy. Dotarłem do Puerto Chacabuco, skąd odpływał prom do Chaitén, to z jego pokładu chciałem obejrzeć fiordy. Ale na miejscu okazało się, że nie stać mnie na bilet. Jednym ruchem przejadłbym budżet na cały tydzień. Jednak byłem zdeterminowany. Ponieważ Puerto Chacabuco było wioską rybacką, chodziłem od drzwi do drzwi, pukałem i pytałem, czy nie potrzebują kogoś do pomocy na kutrze. Wszyscy mi odmówili.

Rozbiłem namiot nad brzegiem fiordu, tuż obok warsztatu szkutnika, który pracował w nim nad nową łodzią. Nie miałem co ze sobą zrobić, więc zdecydowałem, że zostanę tu kilka dni. Szumne zapowiedzi Lonely Planet, że Puerto Chacabuco jest pełne ćpunów i przestępców, nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Jedynym, co zagrażało mojemu życiu, była śmiertelna nuda.

Następnego dnia przyszedł do mnie Geronimo, z którym wcześniej rozmawiałem o pracy. Gruby, zarosnięty czarnym, szczeciniastym zarostem usiadł obok mnie na pniu.

– *Naprawdę chcesz płynąć?*

– *Naprawdę.*

– *Po co?*

– *Chcę zobaczyć fiordy i poznać wasze życie. Nigdy nie pracowałem na kutrze.*

– *Bądź gotowy jutro o 4 rano.*

Na brzegu stałem o trzeciej. Trochę się bałem, trochę byłem szczęśliwy. Bałem się, bo kilka dni wcześniej tsunami rozniosło w pył Sri Lankę i kilka innych wysepek. Nie wiedziałem, czy może dotrzeć także tutaj, ale znaki wskazujące drogę ucieczki chyba mówiły, że tak. Wrzuciłem plecak na kuter, silnik zapyrkał i popłynęliśmy.

Naszą załogę stanowił zbiór osobliwości: Geronimo – kapitan, który głównie pierdział, opowiadał sprośne dowcipy i słuchał The Doors z jamnika. Conejo – Królik, niski, ze sterczącymi uszami, okutany grubym wełnianym swetrem, rzeczywiście wyglądał jak królik. I Manteca – Masło, student informatyki, który zrobił sobie rok przerwy od studiów i wrócił do wioski zarobić na kutrze na kolejny rok na uniwerku.

Chociaż płynęliśmy fiordem, gdzie woda powinna być spokojna, kuter podskakiwał na falach jak łupinka orzecha. Wszyscy schowali się do środka, a ja usiadłem na zewnątrz, na samym dziobie,

chwyciłem się lin i ujeżdżałem morze jak kowboj dzikiego konia na rodeo. W końcu Geronimo zawołał mnie do środka, powiedział, że to niebezpieczne. Zawarliśmy kompromis. Stałem tak, że połowa mnie była w kabinie, a druga połowa na zewnątrz. Żeby nie wypaść za burtę, przytrzasnąłem się drzwiami. Płynęliśmy przez mój wymarzony fiord, z jamnika lecieli The Doors, którzy śpiewali „Break on through to the other side”, a ja śmiałem się jak głupi za każdym razem, kiedy oblewała mnie tona wody z rozbryzgujących się o kuter fal. Z perspektywy Geronimo musiałem wyglądać jak totalny świr.

Kiedy wypłynęliśmy z fiordu na spokojniejsze wody, zabraliśmy się do przygotowywania przynęty. Na linki, do których przywiązane były haczyki, nabijaliśmy rybki wielkości szprotki. Żeby przynęta nie spadła, musiałem przebić się przez oczodół, a potem wyjść ostrzem haczyka przez kark. I tak resztę dnia, w deszczu i zimnie. Wieczorem zarzuciliśmy sieć i o 23 poszliśmy spać. Spałem razem z Conejo pod pokładem, śmierdziało wilgocią i zepsutymi ziemniakami. Pobudka o 4 rano i szybkie śniadanie w drodze na łowisko. Stałem w drzwiach z czerwonym kubkiem kawy i gapiałem się nieprzytomny w morze.

– *Luca!* – wrzasnął Geronimo – *spójrz na prawo!*

Leniwie obróciłem głowę w prawo i pod wschodzącym słońcem zobaczyłem

wyskakujące z wody delfiny. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, ale po mrugnieniu oczami obrazek nie znikał. Piłem dalej kawę, gapiałem się na delfiny i nie wierzyłem, że to jest moje życie.

Dotarliśmy do łowiska i Conejo zaczął wciągać sieci na pokład. Na haczykach, zamiast tłustych, różowych węgorzy morskich częściej wisiały małe rekinki. Na polecenie Geronimo ściągałem je, zabijałem i wyrzucałem do wody. Po kilkunastu zacząłem krzyczeć:

– *Nie jestem żadnym pieprzonym zabójcą!* – i waliłem łbem rekinka o burtę.

Okazało się, że rzeczywistość nic nie wie o tym, że ma być romantyczna, i równie dobrze wychodzi jej bycie brutalną i obleśną. Tak też wyglądała druga część dnia: znowu zakładaliśmy przynęty, znowu przebijałem się haczykami przez oczodoły, a mózgi rybek przeciekały mi przez palce. Geronimo zobaczył, z jakim obrzydzeniem to robię.

– *Luca, zostaw to. Idź do kuchni upiecz nam chleb* – powiedział, żeby mnie uratować.

Po południu przybiliśmy do nie-wielkiej wyspy.

– *Luca, wysepka nie ma nazwy, chcesz ją jakoś nazwać?* – zapytał Geronimo, patrząc na mapę.

– *No jasne!* – wykrzyknąłem.

Możliwe, że jako pierwszy w historii postawiłem na niej stopę. Zszedłem na wysepkę wielkości Stadionu Narodowego w Warszawie i obszedłem ją dookoła, przeciskając się przez gęsty las deszczowy. Po drodze minąłem się z foką, lwem morskim i na koniec – pingwinami, którym właśnie urodziły się młode. Syczały, próbując mnie przegonić sprzed gniazda.

Po powrocie wskoczyłem do wody. Była krystalicznie czysta i zimna jak lód. Chłopaکی patrzyli na mnie jak na głupka, ale nie potrafili sobie tego odmówić. Uznałem, że profanacją będzie, jeśli nie skorzystam z okazji i nie wykąpię się w tych dziewiczych wodach. Kolację mieliśmy sobie znaleźć sami. Najpierw polowaliśmy na coś, co wyglądało na wielkiego homara, a potem zrywaliśmy ze skał mięczaki.

– *Japończycy płacą za nie ciężką kasę* – powiedział Geronimo, podając mi jednego.



Witold Palak Wigilia wśród łowców głów

oprawa twarda

384 stron

format 150 x 212 mm

ISBN 978-83-8127-184-4

Cena

44,90 zł

Oto kolejna wyprawa autora książki „Motocyklem przez Indie”. Oczywiście – do Indii. Tym razem Witold Palak wraz z partnerką Dorotą chcą spełnić swoje marzenie – spędzić święta Bożego Narodzenia wśród słynnych łowców głów, czyli członków indyjskiego plemienia Naga. Zdecydowali się do nich dotrzeć – jakże by inaczej – motocyklem. Dwoje ludzi, jeden motocykl, trochę bagażu i trasa przez Indie – oto recepta na fascynującą

opowieść! Podróżnicy od samego początku napotykać mniejsze i większe trudności: usiłują przebrnąć przez absurdy biurokracji, borykają się z brakiem benzyny, zdarza im się nawet stłuczka, po której nowiutki motocykl nie jest już taki sam. To ich jednak nie zniechęca, bo – jak się okazuje – tak naprawdę w podróży liczy się co innego. Życzliwość, otwarcie na świat i szansa na poznanie nowych, niesamowitych ludzi.

Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel. 58 531 64 81, kom. +48 662 014 686
zakupy@bernardinum.com.pl, www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl

R E K L A M A

Wziąłem go w palce, był oślizgły i patrzył na mnie gałkami ocznymi zamontowanymi na końcach rożków. Włożyłem go do ust. Nie zostałem fanem. Zakochałem się za to w świeżej wątróbce z węgorza morskiego wymieszanej z oliwą, majerankiem i solą. Nie dziwię się temu, że Pablo Neruda, najslawniejszy chilijski poeta, kochał smak tej ryby i napisał o niej wiersz „Oda do zupy z węgorza”.

Następne dni wyglądały podobnie: przynęty, sieci, nocleg, połów, ryby, przynęty, sieci... Dzień roboczy trwał po 18 godzin i wszystko odbywało się na zewnątrz, w rżęście padającym deszczu i 10-stopniowym chłodziu. Widoki były piękne, dziewicze, ale robota paskudna. Nic nie

zostało z romantyzmu związanego z życiem rybaka, który wtoczyli mi do głowy Hemingway i Conrad. Przekonałem się, że to jeden z najcięższych zawodów, jaki można wykonywać. Zszedłem na ląd i złapałem stopa na północ. Tym razem chciałem spróbować życia *gaucho*, chilijskiego kowboja. ◉

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy

PRZYROST NA WYSOKOŚCI

Stolica Erytrei, Asmara – stare etiopskie miasto z włoską architekturą. Leży na wysokości 2325 m n.p.m. Liczy dziś ponad 800 tys. mieszkańców, choć jeszcze 15 lat wcześniej było ich o 300 tys. mniej.



PAŃSTWO NA MARGINESIE

Maciej Suska

Ile kosztuje samowystarczalność? Jak można egzystować w izolacji od świata? Wyprawa do Erytrei na pewno wywołuje takie pytania. To młode i niewielkie afrykańskie państwo, które w ostatnich dwudziestu pięciu latach stoczyło wojny ze wszystkimi swoimi sąsiadami, a ponadto jest podejrzewane o wspieranie organizacji terrorystycznych w Afryce.



Rządzący Erytreą prezydent Isajas Afewerki z przywódcy partyzantów walczących o niepodległość zamienił się w zdziwaczałego satrapę. Toteż do jego państwa rzadko zagląдают cudzoziemcy, a jeśli już, to najczęściej obywatele potężnego i raczej niedemokratycznego mocarstwa azjatyckiego. I to właśnie od rozmowy z chińskim inżynierem na pokładzie samolotu lecącego do Asmary rozpoczęła się moja przygoda z Erytreą.

UCZEŃ PRZEWODNICZĄCEGO MAO

Bob, gdyż tak miał na imię, opowiedział mi o projektach chińskiego rządu w małych wioskach Erytrei, do których z reguły cudzoziemców się nie wpuszcza. Lecz zakaz ten nie dotyczy Chińczyków. Oni wjeżdżają tu nawet bez wiz. Wynika to m.in. z faktu, że prezydent Afewerki odbył w latach sześćdziesiątych szkolenie ideologiczne w kraju Mao Zedonga i wręcz skopiował jego styl rządzenia. Jest to prawdopodobnie klucz do zrozumienia postępowania reżimu w Asmarze.

W lipcu 2018 r. rządy Etiopii i Erytrei podpisały porozumienie pokojowe kończące

HANDEL ULICZNY

Dosłownie. W bardzo biednym kraju, gdzie ruch samochodowy jest sporadyczny, można się potargować nawet na jezdni.



FOT. MACIEJ SUŚKA



FOT. MACIEJ SUŚKA



długotrwały konflikt graniczny. Etiopskie linie lotnicze, po dwudziestu latach przerwy, wznowiły połączenia lotnicze do Asmary. Jest więc pewna nadzieja na pozytywne zmiany w Erytrei oraz całym regionie.

Dzisiaj śladu tych zmian oczywiście jeszcze nie widać. Stołeczne lotnisko jest jakby wymarłe, stoją raptem dwa samoloty, a odprawa paszportowa trwa niemiłosiernie długo. Bob zauważył, że to tutaj normalne. Z kolei wymiana pieniędzy to prawdziwe zdzierstwo. Przy bardzo niekorzystnym oficjalnym kursie wymiany, z 1 dolara na 15 nakf, nikt nie uprzedza, że ruch odwrotny (z nakf na dolary) jest wręcz zabroniony! Pozostają więc trzy opcje: wydanie wszystkich pieniędzy na miejscu, konfiskata przez bezpieczeństwo na lotnisku przy

wylocie z kraju lub wymiana na czarnym rynku. Ale jest to bezwzględnie karane dwoma latami więzienia. Warto przy tym zaznaczyć, że nakfa jest walutą niewymienialną poza Erytreą – coś jak rubel naddniestrzański.

Wraz z Chińczykami zabrałem się jeszcze z lotniska do centrum miasta i pierwsze, co uderzyło mnie na ulicach, to duża liczba chłopców i dziewcząt w wojskowych mundurach. Dwudziestoletnia obowiązkowa służba wojskowa jest znakiem firmowym reżimu i główną przyczyną nielegalnych ucieczek obywateli za granicę. W trakcie trwania tej służby poborowi są m.in. zmuszani do darmowych robót publicznych.

BYŁ SOBIE FIAT

Dawne biuro znanej firmy motoryzacyjnej i niezła futurystyczna architektura, czyli pozostałość po kolonistach w Afryce.



WŁOSKIE KINO

Budynek Cinema Impero, w stylu art déco, zaprojektowany w 1937 r. przez Mario Messinę. Większość wystroju kina do dziś pozostała oryginalna.

SPRAGNIENI ŚWIATA

Harnet Avenue, główna ulica Asmary, to istny skarb architektury włoskiej. Sypiące się, wiekowe budowle nie pozwalają zapomnieć o czasach imperium kolonialnego króla Wiktora Emanuela i Benito Mussoliniego. Budynek Cafe Roma, Cinema Impero, IRGA oraz biuro Fiata są więc obowiązkowymi punktami zwiedzania stolicy. Nocą Asmara ożywia się jeszcze bardziej. W mieście działają dwa

kluby. Zakochane pary umawiają się na randki przy Harnet Avenue. Kręcąc się któregoś dnia wieczorem po mieście, wpadłem na Yareda, znanego mi hotelarza. Asmara to małe miasto, gdzie cudzoziemiec staje się najbardziej rozpoznawalną osobą.

W Erytrei istnieje de facto tylko intranet i nie ma możliwości wysłania wiadomości za granicę. To samo tyczy się erytrejskich kart SIM. I to właśnie z powodu tego odcięcia od



FOT. MACIEJ SUŠKA

świata oraz braku turystów Erytrejczycy są spragnieni kontaktu z cudzoziemcami. Wywołuje to śmieszne sytuacje – przechodnie zatrzymują, pytają o wszystko, o co tylko da się zapytać, i często robią z przybysem wspólne zdjęcia. Znalazienie tutaj żony, gotowej szybko wyjechać z kraju, też nie stanowiłoby większego problemu.

W tygodniu od rana spore kolejki oczekujących ciągną się pod bankami, stacjami paliw



FOT. MACIEJ SUŠKA

NA BIAŁO

Te afrykańskie suknie i chusty nazywają się *zuria* lub *kaba* i mają często w Erytrei kolor biały. Należą do tradycyjnych strojów tutejszych kobiet.

oraz magazynami z mąką. Erytrejczycy otrzymują od rządu dodatkowe przydziały na żywność i paliwo. Ceny towarów w sklepach są wysokie, a na dodatek w 2016 r. znacznie ubyło marketów po dziwnym zarządzeniu prezydenta zmuszającym obywateli do wpłat wszystkich swoich oszczędności na konta banków państwowych. Chodziło o uderzenie w szarą strefę, a wywołało to mały krach gospodarczy i ograniczenie wolnej przedsiębiorczości.

W Asmarze dominują chrześcijanie obrządku koptyjskiego. To bardzo wierzący ludzie. Kobiety tatuują sobie krzyże na czołach, a mijający mnie przechodnie mają niekiedy przy sobie Biblię. Katolicka katedra jest świetnym punktem orientacyjnym na planie miasta. Obok niej natknąłem się na sklepik prowadzony przez zakonników. Można tu nabyć przepiękne karty religijne w języku tigrinia. Na drugim końcu Harnet Avenue mieści się zaś rządowa księgarnia Awghet, gdzie sprzedaje się flagi, pocztówki oraz plakaty z wizerunkami partyzantów walczących kiedyś przeciwko Etiopii.

CZOŁGI, CMENTARZE I WŁOSKIE SENTYMENTY

W biurze rządowym otrzymałem zezwolenie na wizytację składowiska czołgów i wozów bojowych, będącym pozostałością po dekadach

WOJNA TRZYDZIESTOLETNIA

Złomowisko radzieckiego sprzętu wojskowego to pozostałość po wyczerpującej wojnie. Była toczona w latach 1961–1991 przez erytrejską partyzantkę przeciw Etiopii, w tym rządzącemu tam od 1974 r. prosowieckiemu reżimowi.

wojen. Udałem się tam wraz z panem Angosomem, który bardzo chciał pokazać mi pewne ciekawostki. To wielkie wysypisko żelastwa mieści się w pobliżu opuszczonego już hotelu Lion, będącego niegdyś bazą mieszkaniową chińskich inżynierów. Liczba nagromadzonych pojazdów przyprawia o zawrót głowy. Dominują pojazdy sowieckie (ZSRR pomagał komunistycznej Etiopii), ale gdzieś tam uważne oko wypatrzy nawet włoskie maszyny z czasów II wojny światowej.

Ze składowiskiem sąsiadują nowoczesne wille, tak zwana Nowa Asmara. Tu mieszka elita kraju. Z Angosomem udaliśmy się w odwiedziny do jego przyjaciela, Yareda, właściciela luksusowego hotelu w ugandyjskiej Kampali. Jego bardzo religijna siostra opowiadała mi o Biblii oraz wierze w Chrystusa. Angosom przedstawił mnie również swoim znajomym, jemeńskim dyplomatom.

Do doskonałym miejscem, z którego widać panoramę miasta, jest północne wzgórze.



Góruje ono nad slumsami, tak zwaną Starą Asmarą, gdzie warto się wybrać w celu podpatrzenia codziennego życia Erytrejczyków. Obowiązkowym punktem zwiedzania Asmary jest niewątpliwie wielki bazar. Ściągają tu handlarze z najbardziej odległych i niedostępnych regionów kraju, istna mozaika plemion.

W Asmarze można odnaleźć dwa polskie groby. Aby się do nich dostać, należy iść drogą na wschód. Cmentarz Commonwealthu jest położony wśród lasów na przedmieściach.

Pochowani tutaj są por. Jaworski oraz ppor. Lissowski, zmarli w 1943 r. Uciąłem sobie pogawędkę z żołnierzem pilnującym cmentarza, wyraził nawet zgodę na wspólne zdjęcie, co w Erytrei jest raczej zabronione.

Warto udać się również na drugi koniec miasta, na włoski cmentarz wojskowy. Jest tu zgromadzona cała historia włoskiej Asmary, ale natknąć się można też na mogiły greckie czy tureckie. Zainteresowałem się grobem płk. Bartoliniego Ermanno, bo zauważyłem

ORŁA CIĘŃ

Ptāk został sfotografowany przez autora na włoskim cmentarzu w Asmarze. Niespodziewanie siedział nad jednym z wojskowych grobów.



osobistą dedykacją od Benito Mussoliniego. To tutaj wypatrzyłem orła siedzącego na krzyżu. Po kilku próbach podjęcia udało mi się nawet uwiecznić tego wspaniałego ptaka.

Klimat i wygląd Asmary, z takim cmentarzem czy urzekającymi starymi willami, to prawie że kopia włoskich miast. Nieużywane od lat tory kolejowe prowadzące do opuszczonego dworca, resztki starych lokomotyw... To wszystko, co pozostało po Trenitalia. Można tam zrozumieć, dlaczego Włosi tak bardzo kochali ten kraj. ○



Maciej Suska

Urodzony w 1983 r. Podróżnik, fotograf, kolekcjoner, działacz. Zajmuje się też filmowaniem oraz pisaniem.



POLSKA NIEZNANA
Mikołaj Gospodarek

POLSKI BIEGUN ZIMNA

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Jeszcze 20 lat temu nie wyobrażałem sobie grudnia bez śniegu. Z obserwacji ostatnich lat można jedynie domyślać się, że i w tym roku czekają nas szare święta. Ja jednak marzę o pięknej zimie. Ze śniegiem i trzaskającym mrozem. Byłoby tak pięknie! W takich marzeniach wracam zawsze do zimy z 2011 r., kiedy przeżyłem mój prywatny rekord zimna w Polsce. Termometr w samochodzie nad ranem wskazywał -34°C . Nic dziwnego. Byłem przecież na polskim biegunie zimna.

Suwalszczyzna walczy o miano najzimniejszego regionu Polski. Ten zasadniczo płaski, pofalowany przez działanie lodowca teren musi zmierzyć się w pojedynku z położoną w Sudetach Halą Izerską. Dla mnie jednak Suwalszczyzna biegunem zima była, jest i będzie. Pomiary i dokładne obliczenia nie mają znaczenia. Dlaczego? Wystarczy wyjechać z Suwałk w kierunku Rutki-Tartak. Im dalej na północ, tym krajobrazy stają się coraz bardziej bezludne. Zasypane śniegiem pola do złudzenia przypominają śnieżne pustkowia

z filmów przyrodniczych o Arktyce. Życie na Suwalszczyźnie zimą zamiera. Jedynie nikły dym z komina zdradza, gdzie można spotkać ludzi. Wiele domów jest opuszczonych. Podwórka pustoszeją. Kiedy mija poranny ruch autobusów szkolnych, a pracujący w mieście dotrą do celu, na drogach robi się pusto. Po suwalskich szosach zimą jeździ się najlepiej. W większości są odśnieżone, a dzięki zwartej pokrywie śnieżno-lodowej nie ma na nich dziur czy nierówności. Latem wieloma niewyafaltowanymi drogami nie da się przejechać swobodnie. Zimą jest tu raj.

Kończy się on co roku tak samo w marcu, kiedy mrozy puszczają i wszystko płynie, staje się miękkie i wybitnie nieprzejezdne.

Ten północno-wschodni skrawek Polski nawet w środku lata nie kusi mnóstwem atrakcji i nie ma tu tłumu turystów. Co robić tutaj zimą? Ta pora roku przecież kojarzy się z górami, nartami, a nie polami, lasami i zamarzniętymi jeziorami. Piękno Suwalszczyzny nie jest podane na tacy. Trzeba je odkrywać po swojemu. Ja od wielu lat, kiedy tylko robi się biało, a temperatura spada do -10°C , ruszam w tamte tereny. Za bazę służy mi zazwyczaj

Augustów z bogatą ofertą hotelową, a w ostatnim czasie Gościniec Jaczno. To położone na końcu świata siedlisko wygląda zimą jak z bajki: przytulne wnętrza, trzask płonącego w kominku drewna i zapach aromatycznej kawy. Dookoła nie ma nic. Do gościńca nie prowadzi asfaltowa droga, więc nawet latem jest tu cicho. Zimą cisza jest absolutna. To świetny punkt wypadowy dla chcących poznać uroki Suwalszczyzny. Jest to również jeden z niewielu w tym regionie całorocznych pensjonatów z klimatem. Czasami wybieram Augustów, ale tylko wtedy, kiedy chcę pojeździć nad Biebrzę, Rospudę i Czarną Hańczę. Spacer zimą nad tymi rzekami jest czymś niezwykłym.

Zalóżmy więc, że punktem początkowym do eksploracji będzie Augustów. Co zobaczyć na tym biegunie zimna? Trasę rozpoczynam zawsze od przejazdu przez Puszcę Augustowską. Po drodze zaglądam nad Rospudę w okolicach Dowspudy i Raczek. Na mapie wystarczy odnaleźć most. W tych okolicach można zobaczyć jeden z najpiękniejszych odcinków rzeki. W zimowej scenerii jest tam magicznie. Odważni mogą stąd przejechać przez las do miejscowości Szczemberka. Droga prowadzi przez samo serce Puszczy Augustowskiej. Jest szeroka i zazwyczaj odśnieżona. Trzeba jednak bardzo uważać, bo w przypadku awarii auta czy problemów na drodze do najbliższych zabudowań będzie trzeba pokonać kilka ładnych kilometrów przez dziki las. Asfaltem czy lasem dojeżdżam do Suwałk. Tam zaglądam do wytwórni sękaczy Janza i jadę do Wigierskiego Parku Narodowego. To właśnie drogi w tych okolicach podobają mi się najbardziej. Jest dziko i odludnie. Latem dziury i wyboje mnie zniechęcają. Zimą aż chce się mknąć przez las w kierunku Czarnej Hańczy. Po spacerze przy klasztorze jadę dalej bocznymi drogami do Tartaczyska. To mała miejscowość, gdzie można zobaczyć malownicze zakola rzeki. Czarna Hańcza na tym odcinku jest urocza. Wąska i wartka, a do tego z jednej strony otulona lasem, a z drugiej wysoką skarpą. Dojeżdżam do głównej drogi i udaję się do Sejn. Zawsze z tym samym sentymentem oglądam synagogę i snuję się po miasteczku. Zimą naprawdę nic się tam nie dzieje. Nawigację ustawiam na Rutkę-Tartak i bocznymi, zapominanymi drogami jadę przed siebie. Drogi niekrajowe



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

pokrywa tutaj zazwyczaj gruba warstwa śniegu, czasami lodu. Moment zatrzymania trzeba przewidzieć dużo wcześniej. O ile do tej pory trasa przebiegała w płaskim terenie, tak już okolice Wiżajn i Jeleniewa to niemalże góry. Podjazdom daleko do górskich stromizn, ale na tym lodzie wiele razy zatrzymywałem się dużo dalej, niż chciałem.

Z Rutki-Tartak jadę w kierunku Wiżajn. Nie główną drogą. Skręcam w kierunku miejscowości o uroczej nazwie Maszutkinie i Ejszeryszki. Tym sposobem wjeżdżam w prawdziwe góry! Góry Sudawskie. Trzeba mieć sporą wyobraźnię, żeby je wyłuskać z zalewu morenowych wzgórz. Ta droga ma jednak pewną zaletę. O ile do tej pory przez całą trasę można było mieć wrażenie, że „nic tu nie ma”, o tyle po odbiciu na Ejszeryszki nie ma nic jeszcze bardziej. Pola, niewielkie lasy i nic. Czasami jakieś gospodarstwo na horyzoncie. Pejzaże odludne, jakby nie polskie. Nie są to tereny opuszczone. Żyją tutaj ludzie. Latem nawet można zobaczyć ich całkiem sporo. Zimą jednak życie zamiera. Zawsze kiedy tamtędy przejeżdżam, mam wrażenie, że tak właśnie wygląda koniec świata.

Z Wiżajn zaczynam podróż na południe. Taka wycieczka nie mogłaby odbyć się bez wizyty na punkcie widokowym w Smolnikach. Stamtąd też ruszam boczną drogą (latem niezwykle dziurawą) w kierunku najgłębszego jeziora w Polsce, czyli Hańczy. Nie wygląda może ono zimą zbyt szczególnie, ale brak liści sprawia, że ze wzgórza w Błaskowiznie można podziwiać jego piękny rynnowy kształt. Odwiedzane chętnie latem głązowiska

polodowcowe są ukryte pod śniegiem, dlatego ruszam przepiękną i momentami stromą drogą do wsi staroobrzędowców. Wodźki swoją sławę zawdzięczają malowniczej cerkwi. Eksplorację kończę prawie za każdym razem w Jeleniewie, w restauracji Pod Jelonkiem. Zimową porą, po całym dniu na mrozie, podlaskie kartacze smakują wyjątkowo dobrze.

Odkąd wybudowano nową drogę z Suwałk, powrót do Augustowa nie jest już problemem. Taka całodzienna wycieczka to tylko przedsmak tego, co można zobaczyć w okolicy. Otworem stoi przecież Biebrzański Park Narodowy, który zimą wygląda niezwykle. Nie ma też komarów, co ułatwia spacer. Nie ma liści, więc widać przepiękne przestrzenie. Kanał Augustowski sam w sobie jest bardzo ciekawy zimą. Zamarznięte odcinki i skute lodem śluzy wyglądają niezwykle.

Suwalszczyzna to mój biegun zimna. Jest tam niezwykle cicho. Z pozoru nie ma nic, a tak naprawdę jest wszystko, czego szuka dusza turysty. Jedyne czas i fantazja mogą ograniczać w poszukiwaniach końca świata. W moim archiwum nie mogę znaleźć lepszych zdjęć zimy niż właśnie z Suwalszczyzny. Może to właśnie w tej biegunowej, bezludnej nicości kryje się niezwykle piękno. ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

ŚWIĘTA ŁUCJA I KISZONY ŚLEDŹ

Piotr Geise

Wiele lat temu w naszych sklepach pojawiła się pasta kawiorowa. Mimo że nazwa producenta mogła się kojarzyć z niezwykle popularnym zespołem Abba, to nie była to dodatkowa działalność tego kwartetu. Firma Abba została założona w 1838 r. w Norwegii, a od połowy XIX w. prowadzi działalność w Szwecji. W tym kraju znajdziemy dużo więcej kulinarnych ciekawostek, również tych związanych z adwentem.

Zkulinariami szwedzkimi kojarzy nam się przede wszystkim pieczywo firmy Wasa. *Knäckebröd*, pieczywo chrupkie, wypieka się w bardzo wysokiej temperaturze, następnie się je suszy, co sprawia, że ma ono mniej niż 10 proc. wody w objętości. Pieczywo zaczęto produkować w 1919 r. w fabryce w Skellefteå, a od 1957 r. w firmie Wasa Spisbrödsfabrik. Nazwa jest uhonorowaniem króla Gustawa I Wazy, który jest zwany w Szwecji królem żytnim. Wyrób firmy Wasa idealnie smakuje podczas *kräftskiva*, czyli święta raka, obchodzonego pod koniec lata. Gotowane raki w słonej zalewie z koperkiem je się z pieczywem chrupkim i z serem, popijając „ognistą wodą”.

SŁODKI ZESTAW

Zestaw na obchody dnia św. Łucji, czyli tradycyjne drożdżowe wypieki *lussekatt* z rodzynkami i dodatkiem szafranu, oraz kubek grzańca nazywanego *glögg*.

CUCHNĄCY PRZYSMAK

Dla nas, którzy uchodzimy za miłośników kiszzonek, zapewne ciekawostką będzie, że w Szwecji kisi się śledzie, które można







dostać w konserwie w praktycznie każdym supermarkecie. Nie jest wydumaną przestrogą zalecenie, aby otwierać takie konserwy na zewnątrz i w wiadrze z wodą. Ciśnienie w puszcze jest tak duże, że niewprawne jej otwieranie może zmusić nas później do malowania mieszkania po zabrudzeniu spowodowanym ujściem na zewnątrz zawartości puszki. Sam to przeżyłem, gdy otwierałem je na balkonie, który jeszcze przez dwa dni nie pachniał przyjemnie. Cóż, zjedzenie kiszzonego śledzia wymaga poświęceń.

Szwedzi zjadają się tą kiszonką rybną od trzeciego czwartku sierpnia. Tego typu śledzie podaje się bez głowy i wnętrzości na kromce chleba z masłem, czerwoną cebulką, na to mogą być ugotowane ziemniaki w plasterkach, ostry żółty ser, a wszystko powinna wieńczyć gęsta śmietana i koperek. Tak przygotowaną kanapkę popija się wódką. Śledź rzeczywiście nie ma przyjemnego zapachu, ale smakuje wysmienicie.

Warunki naturalne sprawiły, że Szwecja, jak i cała Skandynawia, bazuje w kuchni na naturalnych konserwantach (sól), jak też naturalnych metodach przechowywania żywności (suszenie ryb i mięsa). Stąd też popularna tradycja solonego masła oraz dodawanie do chleba konserwantu, jakim jest cukier. Zapewne nie wszystkim smakuje pieczywo o słodkim smaku, ale jest to bez wątpienia część specyfiki tamtejszych kulinariów.

Podobnie jak u nas, również w Szwecji znana jest czernina z gęsi, jednak jest ona podawana z dodatkiem owocowego puree, alkoholu, goździków i imbiru, a samą gęś faszeruje się suszonymi śliwkami oraz jabłkami i podaje z ziemniakami, czerwoną kapustą i pieczonymi jabłkami.

RADOSNY ADWENT

Panuje przekonanie, że Szwedzi są z reguły powściągliwi, jednak rozweselają ich wizyty na licznych jarmarkach adwentowych. Popija się wtedy grzańca z rodzynkami i tartymi migdałami, który tym samym różni się od grzanego wina dostępnego na niemieckich jarmarkach (tam z dużą ilością przypraw korzennych i z dodatkiem plasterków cytryny). Advent w protestanckich społecznościach ma jednak

FOT. SIMON PAULIN / MACERANA, SWEDENISE

odmienny przebieg niż u katolików. Więcej w nim ludycznej zabawy i radości.

Luterańska Skandynawia przejęła wiele adwentowych zwyczajów od protestanckich Niemców z północy tego kraju, czyli z okolic Hamburga i Kilonii. W Szwecji również popularne są adwentowe wieńce z czterema świeczkami, które zapala się kolejno w następujące po sobie niedziele, gwiazdy zawieszane w oknach lub u powały w przedpokojach mieszkań czy też kalendarz adwentowy z cukierkami w poszczególnych okienkach.

Ten z zasady protestancki kraj szczególnie budzi się do życia w jeden dzień w adwencie, a mianowicie 13 grudnia, kiedy to na pamiątkę śmierci w 304 r. świętuje się dzień św. Łucji. Obchody zaczynają się już wczesnym rankiem, w domu, kiedy to matka przygotowuje tacę z kawą i specjalnymi ciasteczkami, a córka przebiera się w białą szatę i wraz z rodzeństwem wszyscy razem ze śpiewem na ustach idą budzić ojca.

Specjalnym przysmakiem tego dnia są drożdżówki *lussekatt*, które już obecnie można nabyć wszędzie – łącznie z punktami sprzedaży prasy! Te wypieki z dodatkiem szafranu i rodzynekami w środku powstają na bazie ciasta w formie wałków, które się odpowiednio formuje czy to w warkocze, czy to w inne kształty, np. kota – stąd nazwa kocur Łucji. Po zjedzeniu ciasta dzieci udają się do szkoły lub przedszkola, gdzie uczestniczą ze śpiewem na ustach w pochodach – dziewczynki w białych, długich do ziemi szatach, z wiankiem świec na głowie. Nie tylko najmłodszy mają w tym dniu powody do radości z powodu przebrań i łakoci. Również dorośli dzień pracy zaczynają od kawy i degustacji *lussekatt*.

ŚWIETLISTY POCHÓD

Nikogo nie powinno dziwić, że obchody dnia św. Łucji są utrwalone w szwedzkiej kulturze, która jest osadzona w chłopskiej tradycji. Święta Łucja wnosi światło, i tym samym ciepło, w zimnie i ciemne dni. Imię Łucja można kojarzyć z łacińskim *lux*, czyli „światło”. Szwecja po prostu 13 grudnia żyje przemarszami ku jej czci.

Po południu odbywają się pochody z wyborem (dorosłej) miss św. Łucji. Tradycja

przemarszów w białym odzieniu oraz z lampionami sięga końca XVIII w. i powstała w zachodniej Szwecji, ale popularność zdobyła na początku ubiegłego wieku, od kiedy to pochody stały się popularne zarówno w szkołach, jak i w miastach. W Sztokholmie pierwszy tego typu przemarsz miał miejsce dopiero w 1927 r. W średniowieczu w dzień św. Łucji spożywano aż siedem śniadań, by w ten sposób najeść się do syta przed czekającym 7-dniowym okresem postu trwającym do Bożego Narodzenia.

NA GŁOWIE ŚWIECĄCY MA WIANEK

Obchody dnia św. Łucji to radość dla wszystkich dzieci, które nie tylko czekają na drożdżowe wypieki, ale i cieszą się z możliwości przebrania w długie białe szaty i wianki.





FOT. OJA ERICSON / MAGEBANK/SWEDENSE

ŚWIATŁA ŚWIĘTEJ ŁUCJI

Ten dzień to też sposobność do uczestnictwa w uroczystym nabożeństwie, podczas którego wspomina się św. Łucję. Dominuje biel dziewczęcych szat i blask świec.



Całe święto św. Łucji jest ciekawym przykładem na to, jak Szwedzi próbują oswoić problemy nie tylko z zimnem, ale przede wszystkim z krótkim dostępem do naturalnego światła dziennego. Zresztą każda społeczność na swój sposób radzi sobie z zimową depresją i brakiem naturalnego światła. Szczególnie mieszkańcy Północy. Na przykład na Islandii zimą jada się specjalnie przyrządzone ryby, które też nie są dla przybyszów zachęcające pod względem walorów zapachowych, ale to już temat na odrębną opowieść.

Szwecja to kraj niedoceniany i nie do końca odkryty, bo wydaje się drogi i poprzez odmienność kulturową niezrozumiały. Pamiętajmy jednak, że ile razy pijemy mleko z kartonu, robimy to dzięki Szwedowi Rubenowi Rausingowi – od 1951 r. świat używa jego wynalazku pod nazwą Tetra Pak. Z kolei wirówka do mleka, zwana dawniej centryfugą, to patent kolejnego Szweda, Gustava de Laval. Gdy zaś zamarzy nam się podgrzanie czegoś w trakcie wakacji, to możemy posłużyć się kocherem, czyli kuchenką turystyczną, którą zawdzięczamy Fransowi Lindqvistowi. Szwecja jest warta poznania, włącznie z jej smakami, które dają nam kiszony śledź lub cytrynowa drożdżówka w połowie grudnia. Nasze kiszony ogórki i kapusta też zapewne niektórym wydają się dziwne. ○

ŚMIERDZI I SMAKUJE

Deska ze składnikami do przygotowania kanapki z kiszonym śledziem: sfermentowana ryba, pieczone chrupkie, gotowane w mundurkach ziemniaki, biały ser, natka pietruszki oraz gęsta śmietana.



Piotr Geise

Socjolog, dziennikarz, w latach 1993–2006 współpracował w Berlinie z publicznymi radiostacjami RBB i Deutsche Welle. W latach 2003–2013 wykładowca na uczelniach w Bydgoszczy, Wrocławiu i Poznaniu. Obecnie konsultant, doradca, trener.

Jerzy Safijański

DALEKO OD SZOSY

Wioska Dali – daleko od szosy – tak w skrócie można scharakteryzować osadę położoną na szlaku Kunmin – Lijang. Ten sielankowy obraz z roku na rok się zmienia. Ulice wypełniają się turystami, jak wszędzie, gdzie spodziewamy się znaleźć coś atrakcyjnego. A atrakcji w Dali nie brakuje.

Jezioro Er Hai – to tu, nad brzegami, posadowiła się niegdyś osada Dali. Jest to drugie co do wielkości słodkowodne jezioro w prowincji Yunan, o powierzchni 250 km².



Monumentalizm to typowa cecha we współczesnym budownictwie Chin. Na zdjęciu droga prowadząca do słynnych trzech pagód wybudowanych w XI w.



Na targu. Potomkowie ludu Bai w charakterystycznych strojach regionalnych. Chińczycy są bardzo bezpośredni, co pokazuje ożywiona dyskusja pomiędzy dwoma paniami.



Kobiety zajmujące się farbowaniem tkanin z wykorzystaniem naturalnego barwnika indygo.
Supelkowa metoda pozwala uzyskać niepowtarzalne i unikalne wzory.



Ta świątynia została posadowiona na niewiele większej od niej wysepce na jeziorze Er Hai.
Cumujące w pobliżu statki wycieczkowe dwukrotnie przewyższają jej wielkość.



Woda z niezliczonymi kaskadami to stały element architektury nie tylko w Dali. Szum strumyka można usłyszeć wyłącznie we wczesnych godzinach porannych.



Kompleks trzech marmurowych pagód został współcześnie powiększony o nowe pawilony.
Na zwiedzanie lepiej przeznaczyć cały dzień.



Młoda przedstawicielka ludu Bai, zamieszkującego tę okolicę od wieków.



Jedna z wielu malowniczych uliczek starego miasta. Zabudowa jest bardzo gęsta. Zapewne niegdyś były to kramy rzemieślnicze, przemianowane obecnie na knajpki, sklepiki i bary. W sezonie zatłoczone do granic możliwości.



Jerzy Safijański

Od wczesnego świtu fotograf, od rana do wieczora przedsiębiorca, wieczorem mąż i dziadek. Amator, który chce się spełnić w fotografii nieamatorsko. Autor wystaw, zdobywca wielu nagród i wyróżnień. Fotografie dedykuje tym, którzy nie mają ochoty podnieść się z łóżka o 4 nad ranem.

Współczesna architektura w Dali jest podobna do tej oryginalnej. Brak tu wysokiej zabudowy, a wszystkie nowo budowane obiekty mają białą elewację pokrytą cudnymi malowidłami i z dachami wygiętymi w typowy dla regionu sposób.



ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI

Anna Szczesna

FOT. ANNA SZCZESNA



UDRĘKA I EKSTAZA

Miasto cesarzy i papieży. Serce starożytnego imperium. Prawdziwe muzeum pod gołym niebem, w którym mieszają się wszystkie style, kierunki, tendencje. Od wieków źródło inspiracji dla artystów z całego świata. Wiele elementów architektury i sztuki polskiej ma swoje korzenie właśnie w Wiecznym Mieście. Czy można zatem zwiedzić Rzym, nie wyjeżdżając z Warszawy? Można. Tylko po co? Już Goethe słusznie twierdził, że tylko w Rzymie można poznawać Rzym.

Po powrocie przychodzą sny. W pewnym sensie prześladowcze, choć to nie jest właściwe słowo. W nich znowu tam jestem. Znowu po kilkanaście godzin na dobę zwiedzam. Znowu jestem nieludzko zmęczona. Mimo to wciąż idę i idę do przodu. Tak samo jak wtedy, w sierpniu, kiedy naprawdę tam byłam. Znowu widzę te wszystkie cuda, a jest co podziwiać. Prawdziwa udręka i ekstaza, jak tytuł książki Irvinga Stone'a, która opowiada o życiu i twórczości Michała Anioła – artysty związanego z tym miejscem. Antyk, średniowiecze, renesans, barok... Kolejne epoki przeplatają się w tutejszej architekturze na każdym kroku. Co ciekawe, tworzą spójną całość nawet wtedy, gdy z barokowego *palazzo* wyłania się raptem starożytna kolumna. Potężna jak wszystko wokół. Bo przecież Rzym jest majestatyczny, kolosalny, monumentalny, posągowy, gigantyczny, ogromny... Po prostu mega! Te słowa nie tylko najlepiej wyrażają jego styl

i atmosferę, ale są wręcz definicją rzymskości. Tego się nie da zobaczyć gdzie indziej, to niemożliwe.

Ostatni felieton w roku skłania do podsumowań i kusi, aby ciut powspominać. Tym bardziej, że był to rok zupełnie dla mnie wyjątkowy i bardzo à propos Rzymu. Wszystko zaczęło się od biletów na samolot, opłaconej kwatery, a nawet pewnej kwoty „na zwiedzanie zabytków na miejscu”. To był wspaniały prezent od córki. Urodzinowy. Do spółki z mężem skończyliśmy w tym roku pewną szokującą trzycyfrową liczbę lat. Tak, my też nie możemy w to uwierzyć, ale – stało się! To były prawdziwe rzymskie wakacje: sam środek sierpnia, straszliwy upał, tłumy turystów, wszędzie kolejki, a w tym wszystkim my – seniorzy (nie, no nie wierzę). Mimo to daliśmy radę, przeżyliśmy dwie straszliwe burze, udało nam się nawet zmarznąć. Latem, w Rzymie? Tak, klimat chyba naprawdę się zmienia. Co jeszcze nas zaskoczyło? Troska o zwierzaki.

To wielka rzadkość w krajach Południa, ale nie tutaj. Bravissimo, rzymianie!

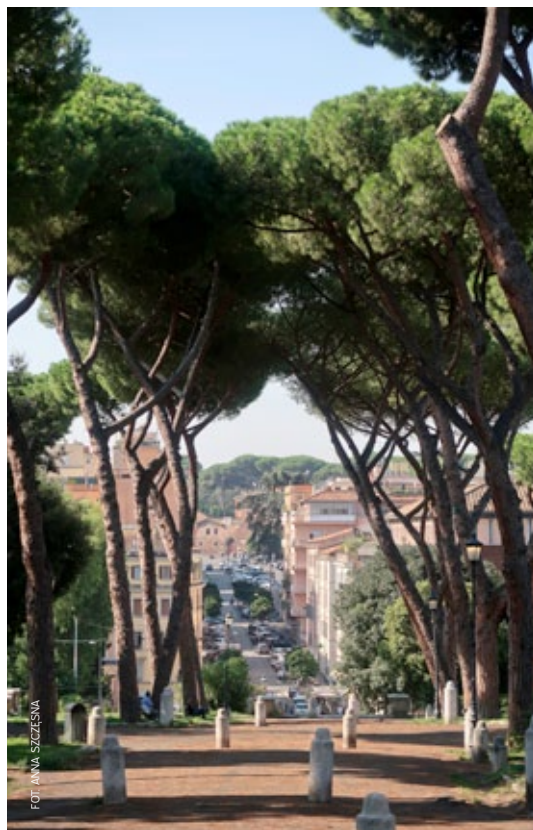
Co jeszcze zachwyca w Rzymie? Wiadomo. Skarby kultury antycznej i renesansowej. Perły architektury. Arcydzieła malarstwa. Dzieła dawnych mistrzów. Urzekające rzeźby. Olśniewające posągi. Niezliczone pomniki. Klasyczne kolumny. Egipskie obeliski. Starożytne budowle. Imponujące kopuły katedr i kościołów. Marmur, granit, trawertyn. Fantastyczne fontanny. Finezyjne detale. Bogate zdobienia, artystyczne dekoracje, ozdobne jak torty fasady kamienic. Unikatowe posadzki. Wyjątkowe sklepienia. Wąskie brukowane uliczki, które nagle zmieniają się w mniejsze, większe lub całkiem ogromne place. Watykan, Panteon, Koloseum, Forum Romanum, Ołtarz Ojczyzny, alternatywne, artystowskie Zatybrze. Knajpy, knajpki, knajpeczki...

Warto także zobaczyć takie ciekawostki, jak: rzymskie Chinatown przy placu Wiktora Emanuela II, ciężką i pompatyczną

EUR – pokazową dzielnicę faszystowskiego reżimu Benito Mussoliniego czy słynne Cinecittà, studio (choć właściwie: miasto) filmowe. Osobiście polecam też Zamek św. Anioła. To z jego murów rzuciła się Tosca w ostatnim akcie słynnej opery Giacomo Pucciniego. Zamek ten był również tajnym kościołem iluminatów w powieści Dana Browna „Anioły i demony”, gdzie byli więzieni czterej *preferiti*, najważniejsi kandydaci na papieża. Swoją drogą Rzym jest samoistnym bohaterem tej książki, więc podążając powieściową „ścieżką oświecenia”, odwiedzimy najpiękniejsze zakątki Wiecznego Miasta. Droga będzie wiodła przez cztery „ołtarze nauki”, które w książce są zaszyfrowane pod postacią specjalnych symboli w dziełach Gianlorenza Berniniego i reprezentują cztery żywioły: Ziemię, Powietrze, Ogień i Wodę. To oczywiście fikcja, ale warto podążać tym tropem. Najpierw trafimy do Pantheonu, który kazał zbudować jeszcze cesarz Hadrian – prawie dwa tysiące lat temu. To przeogromna konstrukcja, która w VII w. została przekształcona w kościół chrześcijański. Dziś znajdują się tu grobowce królów włoskich i wielu wybitnych artystów, w tym Rafaela Santi, malarza i architekta, najmłodszego z trójki słynnych przedstawicieli włoskiego renesansu – obok Michała Anioła i Leonarda da Vinci. Właśnie tutaj powieściowy profesor Langdon rozpoczyna swoje poszukiwania, aby następnie trafić do bazyliki Santa Maria del Popolo, gdzie odnajduje ukryty w kaplicy Chigich symbol Ziemi. My natomiast odnajdziemy tutaj dzieła Caravaggia, Pinturicchia i Berniniego. Nie mogę się powstrzymać, aby nie wspomnieć, że ten ostatni stworzył m.in. imponujący baldachim nad grobem św. Piotra w bazylice watykańskiej i zaprojektował kolumnadę wokół placu św. Piotra. Ten plac to kolejny etap wycieczki, gdzie odnajdziemy następny symbol – Powietrze. Patrzcie tylko uważnie pod nogi! Z kolei Ogień zobaczymy w kościele Santa Maria Della Vittoria, gdzie znajduje się „Ekstaza św. Teresy”, niezwykle uduchowiona rzeźba, właściwie: grupa rzeźbiarska, również autorstwa Berniniego. Przedstawia św. Teresę z Avili i anioła, który właśnie przeszył serce świętej włócznią, sprawiając jej ból, a zarazem wprowadzając w ekstazę. To jednocześnie ekstaza dla oczu, wielki barokowy przepych, niezwykle sugestywność, oszalałająca gra światła i konstrukcja, która

przeczy sile grawitacji. Dzieło robi wielkie wrażenie, zdecydowanie warto je zobaczyć. Najlepiej przed południem, bo później kościół jest dość długo zamknięty. Dalej zmierzamy na Piazza Navona i kierujemy się ku Fontannie Czterech Rzek, którą zaprojektował, a jakże, Bernini. Na placu są jeszcze dwie inne przepiękne fontanny, ale nas interesuje chwilowo ta jedna. W powieści rozegrały się tu niezwykle dramatyczne sceny, a także został ukryty ostatni symbol – Woda. Tytułowe cztery rzeki to Nil, Ganges, Dunaj i Rio de la Plata – największe rzeki z czterech kontynentów znanych w czasach Berniniego. Symbolizują je posągi atletycznych mężczyzn z białego marmuru. Chętnie przebywają tutaj gołębie, których jest także wiele przy Zamku św. Anioła, gdzie (prawie) kończy się nasza wycieczka. Prawie, bo przed nami jeszcze Watykan, do którego główni bohaterowie dotarli z tego zamku sekretnym przejściem Passetto di Borgo. Nam, niestety, pozostanie wyłącznie droga na zewnątrz, biegnąca wzdłuż Muru Leoniańskiego, który otacza Watykan. Nie ma się co martwić, to także duża frajda.

Sam Watykan to już odrębny temat, ale w jego kontekście nie mogę pominąć genialnego Michała Anioła. I jego fresku „Stworzenie Adama” na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej. Tak, to te słynne dwa palce: Boga i Adama, które prawie się ze sobą stykają. Bóg przekazuje w ten sposób iskrę życia Adamowi – powołuje do życia pierwszego człowieka! Ten prosty gest, cała ta scena, pozwala na zrozumienie idei wszechmocy. Do tego „Sąd ostateczny”, kolejny genialny fresk tego samego artysty, który znajduje się na zachodniej ścianie Sykstyń. Także chwyt za gardło i zmusza do refleksji, ale w inny sposób. Mnie postawił do pionu. Jeszcze tylko słynna watykańska „Pieta”, poruszająca i smutna. Maryja trzyma w objęciach martwego Jezusa... Dzieło to całkowicie zrewolucjonizowało sposób wykuwania postaci – po raz pierwszy Madonna nie miała posępnych, wykrzywionych cierpieniem rysów. Te piękne, subtelne, regularne rysy



zniszczył w latach 70. ubiegłego wieku pewien szaleniec. Na szczęście udało się je odtworzyć na podstawie polskiej kopii tej rzeźby, która znajduje się w poznańskim kościele Matki Boskiej Bolesnej. Nie trzeba zatem jechać aż do Rzymu, aby podziwiać watykańską „Pietę”. Z pewnością jednak warto się tam wybrać.

Na zakończenie oficjalnie informuję wszystkich zainteresowanych, że rzymski program obowiązkowy zrealizowaliśmy rzetelnie, sumiennie i z prawdziwą przyjemnością. Zdarliśmy po parze butów, prawie umarliśmy od upału, praktycznie nie mieliśmy czasu jeść, pić ani spać, o przygodach z Chińczykiem i klimą nawet nie wspomnę, ale... Było warto, było super, było ekstra. Dzięki, Duda! ◉

Anna Szczęśna

Dziennikarka, politolog, redaktor.

Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.

Na śnieg i na święta

Grudzień to zima i święta. Prezentujemy odzież i sprzęt przydatny na śnieżne eskapady. Może też niektóre z produktów okazać się świetnym pomysłem na prezent pod choinkę.



NA ROWER I DO MIASTA ENDURA URBAN 3 W 1

Wodoodporna kurtka rowerowa sprawdza się równie dobrze na co dzień. Minimalistyczny styl, najlepsze materiały oraz przemyślane detale sprawiają, że to produkt wyjątkowy. Podstawę stanowi wodoodporna kurtka oparta na świetnie oddychającej membranie ExoShell20, a w zestawie jest odpinana kamizelka z wypełnieniem PrimaLoft®. Można ją nosić samodzielnie, a wraz z kurtką zapewni ochronę przed każdymi warunkami pogodowymi w mieście.

Cena: ok. 800 zł
www.endurasport.com

SUPERMAŁY I LEKKI ULTRA-SIL NANO DAYPACK

Ultralekki, niezwykle kompaktowy plecak w podróż oraz do codziennego użytku. Jego waga i rozmiary są o połowę mniejsze niż wielokrotnie nagradzanego plecaka Ultra-Sil Daypack. Łatwo mieści się w kieszeni, można go też przypiąć do kluczy. Ultralekki Nylon 15D, strategicznie rozmieszczone paski i udoskonalone przeszycia zapewniają maksymalną wytrzymałość przy minimalnej wadze. Asymetryczny suwak i silikonowany Nylon Nano pozwalają zredukować jego wymiary po spakowaniu do wielkości kurzego jajka. Ważący zaledwie 30 g, 18-litrowy plecak Ultra-Sil Nano Daypack wytrzyma ciężary aż do 20 kg.

Cena: ok. 130 zł
www.seatosummit.pl

DLA DZIECI PETZL TIKKID

Kompaktowa latarka czołowa dla dzieci od 3 lat, które marzą, by tak jak rodzice mieć własną czołówkę. Tikkid urozmaici zabawy w domu oraz idealnie sprawdzi się podczas rodzinnych wakacji – na kempingu i wycieczkach. Wiązka światła ma 20 lumenów, by zmniejszyć ryzyko fotobiologiczne i chronić wrażliwe oczy dziecka. Prosty włącznik jest łatwy do zlokalizowania i włączenia małymi rączkami. Dostęp do pojemnika z bateriami jest chroniony przez śrubkę. Opaska z regulacją lepiej dopasowuje się do głowy rosnącego dziecka. Fosforyzujący reflektor umożliwia odnalezienie latarki w ciemności. Łatwa w użyciu: jeden przycisk, trzy tryby świecenia. Automatyczne wyłączenie po jednej godzinie. Czołówka Hybrid ma możliwość dokupienia akumulatora na USB. Czas świecenia: 100 h, zasięg: 6 m, ciężar: 80 g, gwarancja: 5 lat.

Cena: ok. 115 zł
www.amc.com.pl



Cena: ok. 150 zł
www.seatosummit.pl

WYGODA NIE TYLKO W PODRÓŻY AEROS PREMIUM TRAVELLER

To regulowana poduszka podróżna podpierająca kark na całym obwodzie i zapewniająca bardziej komfortowy sen. Jej ergonomiczny kształt i bulwiaste zakończenie ramion eliminują potrzebę przechylania głowy w celu podparcia. Zwężona centralna część nie powoduje dodatkowego nacisku na kark. Kołnierz wykonano ze zgrzewanej tkaniny 20D, która jest rozciągliwa i niezwykle miękka. Wyposażono go w trzy zatrzaski, dzięki którym jest możliwa regulacja do dwóch długości. Zewnętrzna warstwa poduszki została pokryta bardzo miękką i rozciągliwą warstwą poliestru 50D. Poduszka ma opatentowany, nisko profilowany wentyl do łatwego pompowania.

KOMFORT I WYTRZYMAŁOŚĆ REIMA STAVANGER

Narciarski kombinezon, który gwarantuje wysoką wodoodporność (do 12000 mm), bardzo dobrą oddychalność oraz wytrzymałość podczas wszelkich zimowych zabaw. Elastyczne mankiety, regulacja w pasie oraz odpinane silikonowe paski na stopy pozwalają bardzo dobrze dopasować kombinezon do wzrostu dziecka. Zaimpregnowany bez użycia fluorowęglowodorów. Ośmiem kolorów do wyboru. Dostępne rozmiary: 92-140 cm.

Cena: ok. 680 zł
www.reima.com/pl



DLA WYMAGAJĄCYCH SALOMON X ULTRA 3 MID GTX

Wysoki but trekkingowy wyposażony w supertrwałą, syntetyczną cholewkę, osłony na palcach i pięcie chroniące przed kamieniami oraz membranę Gore-Tex® będącą niezawodną barierą dla wilgoci. Pełną przyczepność zarówno na mokrych kamieniach, jak i śniegu czy błocie zapewnia podeszwa Contagrip™. O doskonale dopasowanie dba system SensiFit™ wsparty nowoczesnym wiązaniem Quicklace™. Cholewka średniej wysokości zapewnia mocne wsparcie dla kostki i jednocześnie dobrze chroni przed wnikaniem wody lub śniegu. Dodatkowo cholewka wzmocniona została nieprzemakalną skórą pokrytą warstwą poliuretanu.



Cena: ok. 710 zł
www.salomon.com



DOBRY NA LAWINY THULE UPSLOPE 25L

Najnowsza wersja znakomitego plecaka firmy Thule. Jego kluczową zaletą jest możliwość zainstalowania lawinowej poduszki powietrznej Mammut Removable Airbag System 3.0, zdecydowanie zwiększającej bezpieczeństwo użytkownika w przypadku zejścia lawiny. Atutami plecaka są również płasko przylegające do tułowia pojemne boczne kieszenie, dzięki czemu Thule Upslope 25 l spoczywa na plecach idealnie stabilnie, nie utrudniając zachowania równowagi. W kieszeniach tych można wygodnie przechowywać przedmioty i sięgać po nie bez zdejmowania plecaka. Producent przewidział również możliwość zaczepienia na plecaku kasku (na spodzie lub z przodu), a także bezpiecznego zamocowania nart (ukośnie) lub snowboardu (pionowo).

Cena: ok. 930 zł
thule.com

IDEALNY TOWARZYSZ PODCZAS KAŻDEJ WYPRAWY SANDISK IXPAND FLASH

Kiedy brakuje miejsca na zdjęcia, wideo czy muzykę w smartfonie, wystarczy podpiąć do niego SanDisk iXpand, a on automatycznie przeniesie pliki na dysk. Elastyczne złącze, duża pojemność i niewielki rozmiar powodują, że jest to „must have” każdego właściciela iPhone’a i iPada, który nie chce być zaskakiwany brakiem wolnego miejsca w telefonie.



Cena: od ok. 120 zł
www.sandisk.com

DWA W JEDNYM VARTA NIGHT CUTTER F30R

Ładowalna latarka klasy premium, która w sytuacjach awaryjnych może być użyta jako bank pamięci (pojemność akumulatora 2600 mAh). Idealna na bardziej ekstremalne wyprawy – jest wodoodporna (IPX4) i wstrząsoodporna (test upadku z 2 m). Niezwykle jasna – wyposażona w wysokowydajną diodę LED Cree (jasność do 700 lumenów). Oferuje 4 tryby świecenia (mocne, średnie, słabe światło oraz stroboskop), a także możliwość skupiania i rozpraszania światła.



Cena: ok. 210 zł
www.varta-consumer.pl

Z ZESTAWEM NARCIARSKIM THULE CHARIOT CROSS

Wielofunkcyjna, wszechstronna przyczepka sportowa: idealna na wyprawy rowerowe oraz spacer, a po zakupieniu odpowiednich zestawów adaptacyjnych – również do biegania (nie tylko na asfalcie, ale i z nartami biegowymi). Przyczepka jest wygodna dla małego pasażera i zapewnia doskonałe warunki jazdy – zawieszenie jest amortyzowane, a pochylenie miękkiego, wyściełanego siedziska można płynnie regulować. System Thule VersaWing umożliwi szybką i prostą adaptację do różnych aktywności niezależnie od użytego zestawu (w tym również prezentowanego na zdjęciu zestawu narciarskiego). Przyczepka składa się do niewielkich rozmiarów, a dzięki funkcji Click n’Store można w niej wygodnie przechowywać większość akcesoriów do różnych aktywności.

Cena: ok. 3800 zł
thule.com





FOT. WWW.JEEP.COM

JEEP RENEGADE 1.4 LIMITED – DZUNGŁOŁAZ MIEJSKI

Najmniejszy SUV w gamie Jeepa pozwala poczuć terenowy pazur. Jego design wprost nawiązuje do legend marki – Willysa i Wranglera. Charakterystyczne trapezowe nadkola, kanciasta, pudełkowata bryła nadwozia, klosze świateł z wpisanym „X”, siedmiosegmentowy grill czy charakterystyczny front, umieszczony w wielu miejscach wewnątrz i na zewnątrz, przypominają, z jaką marką mamy do czynienia. Auto jest dość przestronne, chociaż z zewnątrz wcale się takie nie wydaje. Wysoko umiejscowiony fotel kierowcy pozwala patrzeć na innych użytkowników aut osobowych z góry. Nie jest to pozycja jak z Grand Cherokee, ale na pewno wyższa niż w większości osobówek. 350-litrowy bagażnik po złożeniu tylnych kanap powiększa się do prawie 1300 litrów – bardzo dobry wynik, jak na samochód o takich gabarytach.

Testowany egzemplarz miał pod maską 140-konny silnik 1.4 MultiAir, który najlepiej się sprawuje, kiedy już się dobrze rozpędzi. Niestety, demonem przyspieszania nie jest, szczególnie gdy jedziemy nim w 4 osoby lub we dwójkę z dużym bagażem. 6-stopniowa automatyczna skrzynia biegów dobrze współ-



FOT. GRZEGORZ MIEDZIŃSKI



FOT. GRZEGORZ MIEDZIŃSKI



FOT. GRZEGORZ MIEDZIŃSKI

pracuje z tą jednostką napędową. Zawieszenie, jak na SUV-a przystało, dobrze wybiera nierówności miejskiego terenu, ale także polnych szutrówek. W trudniejszym terenie nie mieliśmy go okazji testować – zarówno ze względu na brak odpowiedniego ogumienia, jak i ograniczony czas testu. Jeep Renegade 1.4 Limited to bardzo przyzwoity SUV, a nie terenówka. Do

Cena: od 73 900 zł
www.jeep.pl

jazdy w terenie warto raczej rozejrzeć się za inną maszyną ze stajni Jeepa. W miejskiej dżungli samochód poradzi sobie świetnie, w podmiejskiej również. Na trudniejszy teren trzeba będzie wymienić opony i zmienić ustawienie zawieszenia.

Test: Grzegorz Miedziński



FOT. BEBECZ MIEDZIŃSKA

SALOMON – X ULTRA 3 MID GTX® WOMEN

Jesień to czas, kiedy można sobie pozwolić na testowanie produktów stworzonych do zadań specjalnych. Tak właśnie było w przypadku butów marki Salomon – X Ultra 3 Wide Mid GTX Woman. Podczas weekendowej wycieczki na Błatnią (Beskid Śląski) udało mi się przekonać, że są one stworzone dla pań ceniących stabilność, lekkość, a także szczególny komfort użytkowania bez względu na warunki. Model ten łączy technologię butów do biegania z nieco podwyższoną cholewką i membraną Gore-Tex®. Jako emerytowana biegaczka, która zazwyczaj startowała na bieżni, czasem w przełajach, a już całkowicie okazjonalnie w górach, podchodziłam dość sceptycznie do profilu buta. Okazało się, że buty o średniej wysokości, które doskonale chronią kostki na nierównym terenie, wcale nie muszą ograniczać swobody ruchów podczas intensywnego tempa marszu, a nawet podbiegania.

Za ochronę stopy odpowiada system SensiFit™, który zapewnia bezpieczne i wygodne dopasowanie do indywidualnych potrzeb użytkownika. SensiFit™ polega na utrzymaniu głównie środkowej części stopy w miejscu, niezależnie od elementów cholewki. Zabezpiecza to stopę przed otarciami i tworzeniem się pęcherzy, a także likwiduje uciskanie palców.

Dużą zaletą butów, szczególnie tych intensywnie użytkowanych, jest pianko-

wa wkładka z tworzywa EVA z systemem Ortholite™, który eliminuje przykre zapachy oraz obniża rozwój bakterii i grzybów wewnątrz obuwia. Mam nadzieję, że będzie on działał tak dobrze, jak zapewnia producent. Na razie, po kilku dość intensywnych wycieczkach, buty nadal pachną nowością. Na największą uwagę, jak w większości butów outdoorowych, zasługuje podeszwa. Zastosowana w X Ultra 3 Wide Mid GTX Woman podeszwa zewnętrzna to topowe rozwiązanie marki Salomon, które możemy odnaleźć zarówno w obuwiu biegowym, jak i trekkingowym. High Traction Contagrip® jest wykonana z 3 warstw gumy o odpowiednich właściwościach. Warstwa wewnętrzna zapewnia wygodę wewnątrz buta, środkowa ma wysokie właściwości amortyzujące, natomiast antypoślizgowa warstwa zewnętrzna zapewnia doskonałą przyczepność na zróżnicowanym terenie. Konstrukcja bieżnika ułatwia odprowadzanie wody, błota oraz kamieni i jednocześnie niweluje punktowe naciski na stopę. Ostrzejsza rzeźba w okolicy pięty pozwala pewnie trzymać się nawierzchni, zapewniając większą kontrolę podczas szybkiego przemieszczania się. Pomiędzy podeszwą zewnętrzną a środkową buty mają ramę Advanced Chassis™. Rozwiązanie to zapewnia wysoki poziom kontroli

ruchu, podnosi wydajność ruchów, a także dostarcza optymalną amortyzację i współpracuje ze stopą podczas jej zginania. Advanced Chassis™ zwiększa również poziom ochrony stawów skokowych, co doceniłam na szczególnie nierównych fragmentach szlaku. Buty mają membranę Gore-Tex®. Jak wiadomo, takie obuwie jest wodoodporne, a jednocześnie zachowuje właściwości oddychające, co znacząco wpływa na wygodę użytkowania.

Na szczególną uwagę zasługuje też specyficzny krój buta. Od zawsze mam problem z doбором wygodnego obuwia z uwagi na dość szeroką stopę. Model ten to wyjście naprzeciw kobietom takim jak ja. Trudno jest znaleźć buty, które mają szersze podbicie, a jednocześnie krój dostosowany do tego, że z natury kobiety mają nieco drobniejsze stopy od mężczyzn. Model firmy Salomon jest odpowiedzią na te specyficzne potrzeby. Dodatkowe rozwiązania takie, jak: tylny uchwyt ułatwiający zakładanie, wszyty język zapobiegający dostawianiu się brudu i małych kamyczków do wnętrza buta czy też dodatkowe wzmocnienia w okolicy pięty i palców, które zabezpieczają te narażone na urazy części stopy – to jak postawienie kropki nad i.

Buty X Ultra 3 Wide Mid GTX Woman są idealne na jesień, kiedy jeszcze jest zbyt ciepło na wyciągnięcie zimowego obuwia, a jednocześnie pogoda bywa zbyt kapryśna lub teren zbyt wymagający, by pozwolić sobie na przemieszczanie się w niskim obuwiu.

Test: Ewa Miedzińska



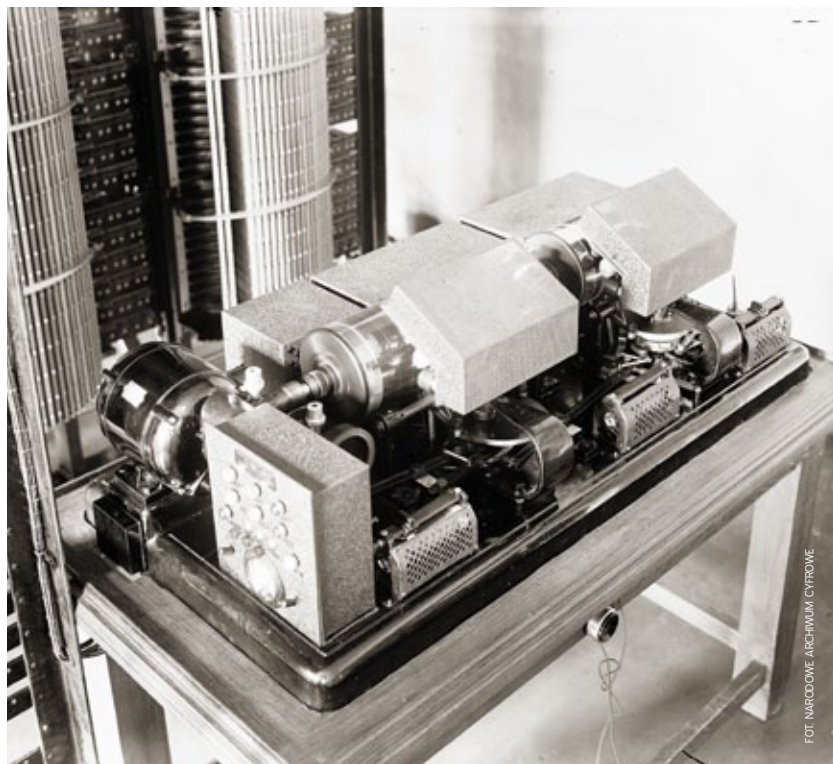
Cena: ok. 500 zł
www.salomon.com

Zegarynka z pogodynką

Zegarynka to dla wielu młodych ludzi nieznana usługa telefoniczna, która od lat 30. cieszyła się dużą popularnością. Urządzenie służyło do przekazywania dzwoniącemu aktualnej daty i godziny, co było przydatne w czasach, gdy zegarki trzeba było nakręcać lub gdy nie miało się do nich dostępu. Zegarynkę po raz pierwszy uruchomiono w 1936 r. w Warszawie, Katowicach, Krakowie, Toruniu i Gdyni. Po zakończeniu wojny jej zasięgi znacznie wzrosły i właściwie cała Polska mogła korzystać z tej usługi. Słyszany w słuchawce głos należał do aktorki Lidii Wysockiej, którą wybrano do tego w wyniku listownego głosowania.

Działała także podobna usługa telefoniczna zwana pogodynką – odpowiadała za przekazanie dzwoniącemu prognozy na dany dzień. To od nazwy tego urządzenia przyjęło się nazywanie telewizyjnych prezenterek pogodowych właśnie pogodynkami.

Zegarynka działa do dziś. Pod numerem 19226 usługa wciąż jest dostępna i wbrew pozorom nadal cieszy się swoistą popularnością – w 2017 r. na zegarynkę zadzwoniono ponad 120 tys. razy.





ŁĄCZNICA AUTOMATYCZNA ABONENTOWA

WYKONANIE WŁĄCZENIA DOKŁADNY TŁUMACZENIOWY
MULYMOŚĆ ŁĄCZENIA DO WYMIARÓW KONTAKTOWYCH I 2 LINIE DO CENTRALI MELSKIEJ.

PRZY WŁĄCZENIU TELEFONU
DOKŁADNY
PODA AUTOM. ZE

SPOSÓB KORZYSTANIA Z APARATÓW DOŁĄCZAJĄCYCH
DO ŁĄCZNIKI ABONENTOWEJ
4. DŁUGI WŁĄCZENIA WŁĄCZAJĄCYCH SIĘ WŁĄCZAJĄC
W 10. WŁĄCZENIE WŁĄCZAJĄCYCH SIĘ WŁĄCZAJĄC

GAZOSZCZELNY
APARAT TELEFONICZNY

WODOSZCZELNY
APARAT TELEFONICZNY



MALAWI – PODRÓŻ JAK MALOWANIE



MADERA W RYTMIE SAMBY



CHILE – PUSTYNNE ODRODZENIE

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krystofiak
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Jerzy Nowiński, Tomasz Owsiany, Anna Szczęsna,
Magdalena Zelewska, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne
Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiez Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazuruwa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
pnummerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.



JAWORZYNA KRYNICKA

GRUPA PKL

- licencjonowana szkoła narciarska Jaworzyna
- wypożyczalnia i centrum testowe nart
- przedszkole narciarskie



- 10 km tras narciarskich
- wygodna kolej gondolowa
- najdłuższy w Polsce snowpark

www.jaworzynakrynicka.pl

**KUP BILET
I SKIPASS
ONLINE**



Polski Caravaning

*Podróż przecież nie zaczyna się
w momencie, kiedy ruszamy w drogę,
i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety.*

Ryszard Kapuściński

Zaprenumeruj 6 wydań za 75 zł

prenumerata@polskicaravaning.pl, tel. 58 777 01 25-28 wew. 308, tel. 604 407 079

www.polskicaravaning.pl